

27.

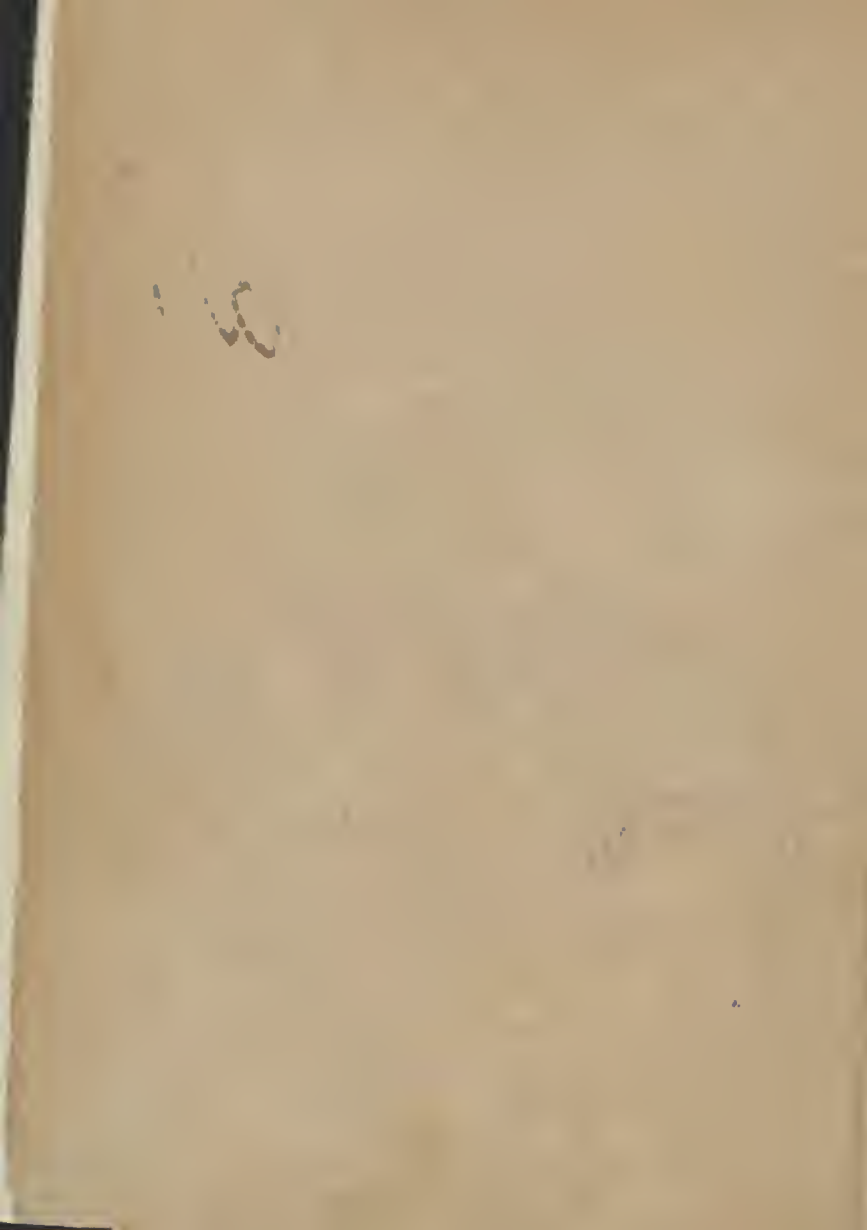
WYBÓR POWIEŚCI

J. I. KRASZEWSKIEGO

(WYDANIE TANIE).

SERYA II.

Tom pięćdziesiąty drugi.



NIEBIESKIE MIGDAŁY.

POWIEŚĆ

697

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

248 a

TOM I.



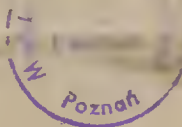
WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA

1885.



Доволено Цензурою.
Варшава, 18 Июля 1884 года.



W jednej z najpiękniejszych okolic Wołynia, tym kraju płynącym mlekiem i miodem, kwitującym lasami czereśniowemi, połączanym pszenicą, młajonym drzewy, przerzniętym strumieniami srebrnemi. W ziemi panów i podpanków. Samobory liczyły się zawsze do najżyźniejszych i najbogatszych majątności na kilkadziesiąt mil w około. Pański to był prawdziwie majątek na którym nie bardzo trzeba było pracować, aby z niego mieć wiele, ani wysilać głowy, ani sypać pieniędzmi w ziemię, ani się troszczyć o gospodarstwą poprawę. Błogosławiony czarnoziem zaledwie poruszony plugiem i czasem potrząsiony mierzwą, rodził sandomierskiej równą pszenicę; udawało się na nim co rolnik zamarzył... a dochody płynęły z łaski bożej i bez troski. Życie też pędzili tu ludzie jak w raj, nie wyjmując włościan nawet, słynących z zamożności i dobrego bytu...

Starym obyczajem szła sobie gospodarka jak gdański zegar odwieczny, który lada kto mógł nakręcić.

Pałac w Samoborach wznosił się jeszcze w przeszłym wieku zbudowany. czasu rozbudzającego się lepszego smaku, wśród ogromnego parku i zabudowań dworskich, składających niemal małe miasteczko. Odnowiony później i przyozdobiony, ze swą kaplicą i szeregiem domków dla officyalistów. oranżeryami, ananasarniami, folwarcznemi przepysznyemi zabudowaniami — wyglądał na książęcą rezydencję. Długie wysadzone drogi ze trzech stron prowadziły do podwórca stojącego w kwiaty, ubranego w wazonny kamieune. osadzone bluszczami, i otoczonego do koła oficynami, które z niem jedną wspaniałą całość składały. — Każdy podróżny przejeżdżający przez Samobory, zadrościł pewnie dziedzicom tych rozkosznych ogrodów, cięnistych gąszczy zieleni, z pośrodku tych strzelały dachy i wieżyczki wdzięcznie rozrzuconych budowli dla ozdoby parku przeznaczonych. Lekka pochyłość, na której pałac się wznosił, spuszczała się poosadzana klombami i gruppami drzew umiejętnie pożenionych, ku pięknemu stawowi, — w jego przejrzystych wodach krajobraz się cały odbijał. Wień leżała nieco opodal przedzielona groblą od pałacu, z cerkwią swą i gruszami, równie malowniczo rozsadzonymi jak pańskie ogrody. Gdzie niegdzie na polach za nią pozostawione drzew kupki, w których się kryły pasieki i szopki, niemal całą okolicę do parku podobną czyniły. Widok był przesłiczny, przyobleczone wyrazem jakiegoś spokoju sielskiego, ciszy szczęśliwej, jakie się rzadko u nas spotykają. Nawet oddalony nieco od wioski cmentarz na wzgórkach z kapliczką, cały w świerkach i brzozech, obwinięty zielenią, osłonięty krzewami — zdawał się pokojem wiekiście uśmiechać. Nigdzie oko

nie spotykało ruiny i opuszczenia. wszędzie znać było zamożność i staranie, gospodarstwo nie gorączkowe. ale troskliwe i przezorną pamięć o jutrze. Ogromne sterty pszenne po polach i stogi po włosciańskich sznurach miały też swoje znaczenie.

Im więcej się bliżało ku pałacowi, tem pilność o utrzymanie porządku widoczniejsza była: — drogi wyborne, ogrodzenia wytworne, krzewy ozdobne, mostki wdzięcznych wzorów, bawiły oko i utwierdzały w przekonaniu, iż dziedzicom nie zbywało ani na smaku. ani na dostatku. który mu dogadzać pozwalał...

Wieczoru letniego roku 18..., dziedzinię pałacowy. zwykle bardzo cichy i wyglądający nienal na klasztorne podwórze — ożywiony był nadzwyczajnie. Nienastannie przebiegali go ludzie w różnych kierunkach, widocznie zajęci, spieszący i wesoło rozmawiający przy spotkaniu. Z oficyn do pałacu przenoszono sprzęty. przybory stołowe, trzepano kobierce. dźwigano wazony, umiatało ścieżki... a słońce zachodzące przyglądało się wesołym tym przygotowaniom, ozłaczając je pomarańczowemi blaski... Wierzchołki drzew poza pałacem oświecone jaskrawo malowały się na ciemniejącem już niebie północy. W parku długie ich cienie słały się już po trawnikach i ulicach; a pałac na tle ciemnem zieleni czarodziejską zdawał się dekoracją ze swą kolumnadą i kamiennemi galeryami i gankami. Coraz to ktoś się ukazał. przebiegając je żywo i znikając w głębi gmachu.

Gdy tu panował taki ruch, dalej w ocienionym parku, ciszy głuchej nawet szum drzew nie przerywał. bo najlżejszy powiew wiatru nie poruszał ich gałęzi....

Wśród klombów na pięknie utrzymanych trawnikach, rozrzuconych ręką ogrodnika-malarza, wily się ścieżki żółtym wysypane żwirem. wiodąc na przemiany to wgąszcze, to na niespodziane łąki, z których widoki na daleką odsłaniały się okolicę. Na jednej z nich przechadzały się właśnie wolnym krokiem dwie osoby do dworu należące: kobieta mogąca mieć lat około pięćdziesięciu, i mężczyzna, którego wiek trudno było na pierwszy rzut oka rozpoznać.

Pani szła przodem; towarzysz jej z widocznem uszanowaniem dworaka, nie śmiejąc się z nią zrównać albo pozostawał nieco w tyle, lub obok idąc usuwał się do pewnej odległości, pochylając tylko aby mógł utrzymać nieprzerwaną rozmowę. Piękna była postać kobiety, chociaż wiek na twarzy nadzwyczaj kształtnych rysów i pięknego czystego wzoru wypiętnował już przejścia swojego ślady. Wiele tam jednak nie-naruszonego zostało. Białe wygładzone czoło, jak spokojna woda burzą żadną nie zmaczona, odbijało duszy pogodę.

Niebieskie oczy, tęskne, łagodne, pełne dobroci, uśmiechały się życiu jeszcze, usta wyrażały niewinność prawie dziecięcą i miłość niewyczerpaną. Wiek nie odjął im słodyczy, jaką je młodość napoiła. Całość oblicza poważna była, szlachetna, a anielsko łagodna, przeważał tu charakter niewyczerpanej dobroci... Troski i chmury, które przesunęły się po tem czole i licu, odjęły im świeżość tylko, starły puszek wiosenny, ale nie wpiły się głębiej, myśli nie ryły na nich marszczek i nie wjadły się po za powierzchnię,— życie samo nie pozostawiło tu ani śladów namiętności ani skaz, ani brózd, które bolesci zlobią. Cała postać

doskonale odpowiadała twarzy, co się nie zawsze trafia. Typ kobiety wysokiego rodu. wypieszczonej i szczęśliwej. w całej świetności się w niej przedstawiał. Ruch. postawa. instynktowe poczucie piękna w sobie, mimo wieku uderzały w uroczej tej niewieście jakby z balzakowskiej powieści wyjętej.

Wrażała uszanowanie i obudzała sympatyę za pierwszym na nią wejściem. Strój dowodził, że się nie wyrzekła wdzięku. że go zachować pragnęła. Pełny prostoty był zarazem wytworny i smakowny. Białe kaszmirowy szlafrok. oblamowany liliiowemi ozdoby i oszyty sznurami, koronkowe kołnierzyki i mankiety. bladolila rękawiczki i tegoż koloru niepotrzebny już parasolik. na którym się z lekka opierała, dowodziły że wracała z przechadzki. z której zerwanych kilka dzikich polnych kwiatów niosła z sobą.

Mężczyzna towarzyszący nie mógł się poszczycić równie sympatyczną powierzchownością. Był to człowiek krępy, niezbyt zgrabny. z twarzą szeroką starannie wygoloną, z oczyma piwnemi. wystającemi ostro na twarzy ciemnej barwy. Oczy te niepospolitą zdradzały bystrość, i w ogóle wyraz fizjonomii oznaczał człowieka pewnego siebie, a obeznanego ze światem: charakteru jednak do badać się z rysów, było trudno. Zmieniał się on co chwila, na zawołanie. i nie wzbudzał wielkiego zafania, jak niebo. po którym ciągną obłoki. nie dając nadziei pogody.

Pilnie się wpatrując. można było dostrzedz, gdy chciał być najpoważniejszym. sarkazm, co mu się w zmarszczki zakradał. a w uśmiechu wesołym migало coś ponurego. Twarz tę nazwaćby było można fałszywą. choć starała się być otwartą. Nigdy nie był pięk-

ny ten człowiek. a wiek uczynił go tak pospolitym i rażąco trywialnym. iż miejsce jego najwłaściwsze się zdawało w przedpokoju. Pokorne też ruchy mogły oznaczać, że się sam do tego poczuwał. Ubiór nie powiedział nic: był przyzwoity, czysty. pospolity, ale, jak na wielki dwór przystało nie rażący. Z pod kapelusza który nie był ani zbyt świeży. ani nadto stary, domyslać się było łatwo peruki. pragnącej uchodzić za prawdziwe włosy.

Z każdej twarzy mniej więcej czyta się przeszłość człowieka. tak jak na ruinach widać ślady pożaru, co je zniszczył, lub powolnego opuszczenia co je dało zjeść muchom i porostom. Na licu jeszcze świeżem, dobrze wykarmionem idącego jegomości, znac tylko było wielką dbałość o szacowne zdrowie. pamięć na siebie i praktyczne pojęcie żywota, mniejące usunąć jego zbyt ciężkie brzemiona.

— Nie nwierzysz mój drogi profesorze — melodyjnym. pełnym słodczy głosem mówiła kobieta — jak ja jestem dziś szczęśliwa! jak dziękuję Bogu. że mi dał dożyć dnia tego - jak wam, coscie mnie wspomagali w tem zadaniu nad kobiece siły, jestem serdecznie wdzięczna!..

Nienstanna ogarniała mnie trwoga... aby Zdzis sierotą nie został. nim dojrzeje i wyjdzie na człowieka, nim wychowanie jego będzie skończone. Dzisiaj je uważam za dopełnione, dzięki staraniom waszym... Zostaje uniwersytet... ale to już pierwszy początek samostannego życia — nie prawdaż? Zdzis jest uzbrojony i przygotowany do niego.

Mężczyzna słuchał przegięty i pochylony z usza-

nowaniem. Twarz jego wyrażała zgodę zupełną. uśmiechała się. wdzięczyła dworacko.

— Pani hrabino dobrodziejko — rzekł głosem, który usiłował być miłym. a był rażąco suchym i ostrym, jak szelest liści jesiennych — dary, które hrabia Zdziśław wziął od natury. jego szczęśliwe usposobienie, niesłychane talenta. dobroć i łagodność. które w spadku po pani otrzymał, wreszcie macierzyński dozór... oko... ten pieczołowity oddech. którego nie zastąpić nie może... uczyniły wszystko... Ja, to jest my wszyscy, tyłkosmy mu drogi wskazywali, które on z łatwością przebiegał. Świetną ma przyszłość przed sobą teraz.

— A! bo też to dobre, miłe, kochane dziecię... zawołała hrabina z uczuciem... Bóg mi dał tę perłę w nagrodę za wiele przeniesionych cierpień!

To mówiąc, westchnęła hrabina.

— Chlubię się nim — dodała — pyszna jestem moim Zdziśiem! radabym go całemu światu pokazać... Będzie on moją i waszą chlubą, wyście mu też byli duchownym ojcem, aniołem stróżem...

— A pani — przerwał korząc się mężczyzna — ja sobie nic a nic nie przyznaję. pani aż nadto jesteś łaskawa...

— Ten dzień jutrzejszy. dzień razem jego urodzin i jego wyzwolenia, napełnia mnie radością ale i obawą niezmierną — mówiła hrabina. Wyjście na świat... a! kochany profesorze... po tym spokoju i ciszy, jakie go otaczały, na ten świat, którego ja się tyle lękam, wszystkie niebezpieczeństwa, na jakie ma być narażony... ludzie, o których się ocierać będzie musiał... tyśiące wypadków. które mi wyobrażnia przedsta-

wia... Gdybym mogła iść za nim, strzedz go. prze strzegać...

— A! pani. — przerwał profesor. — jeśli o kogo. to o pana Zdzisława najmniej się lękać należy. Wychowany w zasadach gruntownych. napojony zdrowemi wyobrażeniami. z naturą tak szlachetną i szukającą magnetycznie tego, co dobre. piękne. wielkie... utoruje sobie drogę łatwo... o jakiej nawet macierzyńskie serce nie marzy... O! jestem pewien!

Uderzył się w piersi profesor. hrabina uśmiechnęła.

— Ja nie wiem — rzekła — mam czasem przecucia najlepsze, czasem drzę, nie umiejąc sobie tego wytłumaczyć... Zrobiła co tylko było w mej mocy, poświęciłam się cała wychowaniu jego... jemu; wyrzekłam się świata. usunęłam na wieś. aby wśród tego zdrowego powietrza i atmosfery czystej mógł dorosnąć... Teraz opieka moja skończona... Bóg łaskaw! Jemu go oddaje...

Ale proszę cię, kochany profesorze. dodała po małym przestanku, wiesz najlepiej, jakiśmy zakreslili plan jego wychowania... Musieliśmy go usposabiać na człowieka do świata naszego...

Kształciliśmy go trochę encyklopedycznie. pan to sam znajdowałś najwłaściwszem... teraz od niego zależy. co sobie szczególnie wybierze w uniwersytecie... Jak się panu zdaje? Jam się go zapytywała kilka razy — dotąd jest niepewien... Cóż pan sądzisz?

Profesor z lekka ramionami poruszył.

— Nie chciałem nigdy narzucać mu żadnej myśli, a nawet badaniem mu je wskazywać. Trudno od-

gaǳnac. Chciwy wiedzy nadzwyczajnie, pojęcie ła-
twe, głowa otwarta. Mojem zdaniem, gdyby to było
możliwe, dla niego karyera dyplomatyczna...

— Przy naszych stosunkach nieco zaniedbanych
wprowadzić go na nią byłoby trudno... — rzekła
hrabina.

— A! niech pani będzie spokojna: taki człowiek
jak Zdziś. znajdzie i utornje sobie drogę, a na każdej
z chlubą wystąpi...

— Tyś taki dobry...

— Ja go tak kocham, więcej powiem, uwielbiam —
zawołał profesor. A! pani...

Hrabina żywo podała mu małą rączkę, któ-
rej profesor kłaniając się ledwie śmiał dotknąć pal-
cami.

— To było szczęście prawdziwe takiego mieć ucz-
nia i módz się pochlubić, że się krajowi takiego wy-
chowało człowieka. mówił z zapalem nieco przesadzo-
nym profesor...

I byłby zapewne w tym tonie dalej ciągnął mile
w uszach matki dźwięczącą mowę, gdyby naprze-
ciw na tej samej ścieżce nie pokazały się dwie nowe
postacie, spieszące naprzeciw hrabinie.

Byli to dwaj młodzi ludzie.

W pierwszym z nich łatwo było odgaǳnąć syna
hrabiny, Zdzisława — który twarzy rysami i wyrazem
jej przypominał matkę. Wysmukły, zręczny, jak anioł
śliczny, pełny życia, z rozpromienionem od szczęścia
obliczem, szedł ku hrabinie, śmiejąc się jej i kłaniając
już z daleka... Niezmiernie wytworny strój wiejski,
bardzo mu był do twarzy. Najmniejsza w nim drob-
nostka była dobrana i wyszukaną ze smakiem... ko-

sztowna i piękna. Matka snadź chciała go mieć jak laleczkę strojnym. i na widok jego, cała jej twarz się ożywiła radością niezmierną i zachwytem. Oczy zdawały się mówić: Możesz co być na świecie piękniejszego nad mojego Zdzisia?

Chłopiec na wpół szedł, wpół biegł, a każdy jego ruch znamionował siłę i zręczność. Obok niego idący. towarzyszący mu młodzieniec, wcale wyglądał inaczej. Silny był. zdrów także, o niewiele może starszy od Zdzisława, ale dużo dojrzalszy. Przy nim tamten wydawał się niemal dziecinnie. Mniej zręczny, zbudowany od topora, poruszał się z jakąś niedźwiedzio-watą siłą bez wdzięku, ale twarz jego rysów szlache-tnych, wyrazistych, pełna była powagi i rozumu. Nie pięknym będąc, sympatyczny był przecie. na czole miał myśl. w oczach wiele uczucia, w ustach coś smutnie zrezygnowanego. Trochę jakiejś dumy przyciś-niętej snuło mu się u wejrzenia, ale ledwie błysnąw-szy. wnet gasła stłumiona wołą energiczną. której ca-ła postać była wyrazem.. Ubrany skromnie bardzo. bez żadnych wymysłów i błyskotek, zdawał się raczej towarzyszem z obowiązku hrabiego. niż jego przyja-cielem i bratem.

Gdy obaj ukazali się na scieżce, kończyli jakąś rozmowę. Zdzisł podał mu rękę uprzejmie, a on ścisnął ją z powagą i uczuciem. Widok hrabiny zerwał snadź rozpoczęte młodzieńcze jakieś spory. Szli da-lej milczący, a towarzysz hrabiego zwalniał krok i pozostawał nieco, jakby lękając się być natrętnym. Hrabina przyspieszała chód, wyciągając ku synowi ramiona. Profesor się usmiechnął. a tyle rzeczy w tym

uśmiechu było, iż właściwego mu charakteru niepodobna było odgadnąć.

— Zdziś drogi! jakże ci się jeździło?... — zawołała hrabina ściskając syna, który w rękę ją czule całował.

— A! doskonale... Timur chodzi, powiadam mamie, jakby miał skrzydła... a co za ogień. a jaka łagodność..

— Aleście nie bardzo dokazywali! — spytała matka badając spoglądając na towarzysza młodego hrabiego, który się w milczeniu uśmiechał.

— Żabicki przecie był ze mną! — śmiejąc się odparł Zdzis — nie pozwoliłby...

Żabicki popatrzał w ziemię

— A taki jesteś zmęczony! chustką własną ocierając pot z czoła syna, dodała hrabina.

— Tylkośmy trochę galopowali w ulicy.. — rzekł Zdzis — Timur suchuteńki...

— Chodźże ze mną. bo mamy z sobą jeszcze dziś wiele do mówienia. odezwała się matka podając mu rękę... Zdzis pozdrowił profesora, hrabina uśmiechem pożegnała obu i powoli poszła ku pałacowi. Profesor z panem Żabickim zostali na ścieżce oko w oko, sami z sobą. Profesor poprawił nieco pod kapeluszem perukę, patrząc na Żabickiego. który zdawał się mieć ochotę minąć go i iść inną ścieżką dalej; chrząknął nieco i wstrzymał go, dając mu znak w milczeniu.

Nim jednak rozpoczął rozmowę, obejrzał się jak daleko odeszła hrabina.

— Możebyśmy się trochę przeszli...

— Chętnie — rzekł Żabicki. Znać było jednak w tym wyrazie więcej grzeczności, niż ochoty...

— Rzeczywiście unsimy pomówić z sobą, kochany panie Żabicki, począł łagodnie — szczególnie we własnym pańskim interesie.

— W moim? zapytał Żabicki zdziwiony nieco.

— A no tak, tak — choć to już może trochę późno chciałem pana przestrzedz — wierz mi, z dobrego serca.

Żabicki spojrzał ciekawie, ale bez zbytniego zajęcia się przestrogą, która grozić się czem zdawała....

Profesor wziął go za rękę.

Kochany panie Żabicki, rzekł glosem niby rozczulonym i rozczołconym — co było a nie jest, tego nie pisać w registr. Nierazęśmy się tu poróżnili w zdaniach, a często w postępowaniu z naszym wspólnym uczniem.... Waćpan grales rolę Katona, a ja.... łagodnego bardzo Mentora...

Gdybyż Mentora! cicho mruknął Żabicki

Ale mój drogi panie Żabicki — waćpan nie nie dokazałeś katoństwem swoim, ja zaś akomodowaniem się zyskałem i serce ucznia i łaskę hrabiny. Cożes chciał zrobić z takiego gagatka i pieszczoszka? Dobrze to, pocziwe chłopie, ale jemu nad to czem jest, więcej być nie potrzeba. Będzie zacny, miły, lecinchny panek, natury nie przerobić. Po cóż się narażać nadaremnie... i...

— A smienie — przerwał Żabicki.

— Przecież zdaje mi się, że i ja je mam, ale gdzie niem nic zrobić nie mogę, po co mam z niem dla próżnego popisu wyjeżdżać? Dałbys pokój! Hrabina ma

do was zał. że Zdzisia ani ocenić, ani kochać nie umiecie...

— Ale ja go kocham jak brata. i to co w nim pocziwego jest, cenię, przecież dla tego samego prawdę mu mówię.

— No — i po cóż się prawda im zdała? — przerwał profesor—im co się chowają. żyją, oddychają sztuczną atmosferą i wiekuistym fałszem?! Ja chowam prawdę dla siebie, a kanarki cukrem karmię. .

Zmiluj się, choć jutro ua tę wielką uroczystosć—dodał—rozczył się, więcej okazać uwielbienia dla naszego ideału!!

— A! mój profesorze, westchnął Żabicki—jeszczem zamłody, życie mnie kłamać nie nauczyło... Wszystko to dla mnie nadzwyczaj smutne. właśnie dla tego. że Zdzisia kocham. a pocziwe, złote chłopię tak rozpieszczono, wychuchano. tak przed uim prawdziwy świat zakryto, że ja się przyszłością przerażam!!

Wyjm go panie profesorze z tego otoczenia. z tej atmosfery, zmień nieco położenie, rzuć go w walkę życia, zginie, rady sobie nie da! nie uzbrojono go do ' rju!

— Ale bo waćpan śnisz wiekniście o walkach—odparł profesor. Są ludzie, którzy ich nie toczą i którym los oszczędził prób, wygładził drogę, przygotował zawczasu wszystko. tak, że dosyć im urodzić się, uśmiechnąć i zasiąść do biesiady....

— Daj Boże, ażeby tak ze Zdzisławem było—odezwał się Żabicki —lecz któż może za przyszłość zaręczyć!

— A po cóż tam ją odgadywać koniecznie tak smutną? . Co nam do tego!!

Ruszył ramionami profesor. Ścieżka, którą szli, doprowadziła ich do domku ogrodnika. Tu wysnawiano wazon-y, a chłopaki wiły wience zielone na jutrzejszą uroczystość. Stary w szarej kapocie i czapce rogatywce mężczyzna stał z rękami w kieszeniach zamysłony. Był to sługa emeryt, zasepiony jak się to często w późniejszych latach zdarza. Ponury wyraz jego twarzy, dziwnie odbijał od wesołości chychoczących ogrodników. Profesor przywitał go z wielkiem nadskakiwaniem, jakby się lękał jego złego humoru i pragnął go rozchmurzyć. Żabicki się skłonił z daleka. Na odwrót stary sługa profesorowi oddawszy zimny ukłon, do Żabickiego się uśmiechnął i ręką go kilkakroć pozdrowił.

— Cóż tu kochany pan Huba robi? zapytał profesor zmienionym tonem wesoło....

— A cóż, gapię się, robić nie mam co — człowiek do niczego już się nie zdał. Stękam a stękam, a to tu n nas we dworze gdzie wszyscy weseli, ni przypiął ni przylatał... Więc po kątach się trzeba kryć, aby ludziom humoru nie psuć.

Ale po cóż go psuć samemu sobie! zapytał profesor ..

Taka to już natura — westchnął Huba — wszystko na starość wydaje się opacznie i nic do rzeczy....

Odwrócił się do Żabickiego.

— Dokąd to panowie ze Zdzisiem jeździli?... zapytał.

— Chciał się przejechać na Timurze... trochę w pole... rzekł Żabicki...

— E! mruknął Huba — przysiągłbym, że pod Zahorodzie .. a co? nie zgadłem?

— Nigdzieśmy nie byli!

— Żeby choć kominy zobaczyć! mówił Huba wzdychając. Chłopiec taki młody i już... ale to teraz wszystko wcześniej dojrzewa i przejrzewa...

Uderzył się dłonią po ustach.

— A no — cicho! po co to już mówić!...

— Bo nie ma o czem w istocie — dodał profesor. Zdrożnego nie!! Że chłopak w jego wieku pomarzy trochę i powzdycha, to w naturze rzeczy...

— U nas w naturze było, że jeszcześmy o te czasy na kobiercu brali! dodał Huba — i wara było po księżycu wzdychać... Po co ma serce mięknąć zawczasu. kiedy tu stalowego potrzeba, żelaznego... kamiennego...

I znowu wedle zwyczaju po ustach się uderzył.

— Cicho! cicho! tfu...

W porę skończył, bo szelest się dał słyszeć za chatą, i śmiech. i głos kobiecy, wesoły młody. Wszyscy się obrócili w tę stronę... O kilka kroków stało dziewczę z niemłodym już mężczyzną.

Oboje oni dziwnie się mogli wydać w pańskim tym ogrodzie, bo wcale nie pańską powierzchowność mieli. Szlachcic był w kapeluszu słomianym i ubraniu letniem bardzo prostem, można go było wziąć za ekonoma; dziewczeczka co z nim szła, z różową twarzyczką. z figlarnymi oczkami. wesoła, małutka. zwinna; ubrana była po wiejsku, ale z wielkim wdziękiem. Wianuszek z bławatków trzymała w ręku... Dwie kosy jasnych, ślicznych włosów opasywały jej główkę, jakby anreolą. Biała sukienka z różowymi wstążkami, kapelusik słomkowy, cały strój składały. Troszkę

opalona, wcale po pańsku i do pałacu nie wyglądała. Znać było szlacheckiego dworku córkę.

— Otóż to doskonale! zawołała podbiegając... i profesor, i pan Żabicki, i Huba... tu się prawdy dowiemy! klasnęła w ręce przyskakując...

Szlachcie się witał ze wszystkimi.

— Kogo z panów mam wziąć na spytki? i poczęła żywo. E! — pan Żabicki odpowiada!

Stała naprzeciw niego dygając.

— Zaproszono nas jutro, tatka i mnie, do Samoborów... Aui ja. aui ou, nie mamy wyobrażenia dla czego i na co? Słyszeliśmy o jakichś wielkich przygotowaniach... Ja w straszliwej niepewności jak się ubierać, aby się zamało nie ustroić, lub za mało nie wyflokować; ojciec nie wie czy frak dobyć, czy surdudem się ograniczyć — słowem straszliwa wątpliwość. okropna niepewność. Rada w radę, przyszlismy z Wulki po kryjomu sami, aby dostać języka ..

Paplała piękna dziewczeczka, a Żabicki się uśmiechał.

— Za pozwoleniem. — wtrącił profesor, ja choć nie pytany, biorę na siebie odpowiedź... Jutro urodziny pana Zdzisława, jutro kończy rok dwudziesty... i jak to było zwyczajem u dawnych Rzymian, wkłada mężką togę, togam virilem. Od jutra jest hrabią Zdzisławem Samoborskim; ustaje władza nauczyciela, macierzyńska opieka... jest usamowolniony...

Huba słuchając głową kiwał.

— I będzie miał prawo głupstwo zrobić — dodał cicho... bo do tego jest przygotowany.

Dziewczyna patrzała biegając oczyma po wszystkich twarzach—śmiechając się ciągle.

— Ale któż będzie jutro? kto będzie?

— Wielka parada? mówił profesor znowu wyręczając milczącego Żabickiego — sproszonych osób mnóstwo. Czy wszyscy przyjadą, nie wiem. Dzisiaj oczekujemy opiekuna prezesa Mohyły... Będą naturalnie Mangoldowie, będzie z sąsiedztwa kto łaskaw... Dobywamy ze skarbcza srebra paradne, kucharze budują piramidy, piwniczy szeregi butelek wystawia...

— A muzyka? podchwyciła dziewczeczka, wesoło strzelając oczyma ciągle.

— Zamówiona! i doskonała... żartobliwie dodał profesor...

— W nagrodę za informację uprzejmą, zamawiam profesora do pierwszego walca...

— Ja? do walca? cofając się krzyknął profesor..

— A pana Żabickiego do mazura! śmiała się dziewczeczka...

Żabicki się skłonił.

— Siebie i mnie pani skompromitujesz, tańcząc po łacinie...

— To nic nie szkodzi..

— Stasiu! pokazujesz bardzo—odezwał się ojciec, który w czasie rozmowy patrzył z zajęciem na szczeniącą dziewczeczkę...

— Tatu kochany —jestem tak przyzwoita... a że trzpiot... taką mnie pan Bóg stworzył! Oplakuję to, ale się poprawić nie potrafię...

Ojciec ją pocałował.

Niebieskie migdały. Tom I.

Huba z dala patrzył i lice mu się też rozchmurzało powoli... Śliczne dziewczę przyniosło z sobą wesele, jak kwiaty woń niosą.

— Nie pozostaje więc nam nic zgoła więcej. tylko złożywszy panom dzięki i życzenia dobrej nocy, nazad przez pola do domu, aby się przygotować na uroczystość jutrzejszą... dodała Stasia... Tatku, proszę o rękę, będę podporą twojej starości...

Dobranoc! dobranoc! dobranoc! — Szlachcic się kłaniał — i za chwilę znikł w głębi ogrodu. Huba długo patrzył za nimi.

— To mi mospanie dziewczeczka... odezwał się to nie Margoldówna! to czysta nasza, panie, szlachcianka, do tańca i do różańca! Aż miło!

Machnął ręką cos mrucząc jeszcze, i powoli poszedł scieżyną...

+

✱

Zmierzchało już dobrze, gdy czterma końmi zaprzężona stara karetka, pamiętająca może jeszcze Dąglowskie czasy, przywiozła przed ganek pałacy wy pana prezesa Mohyle...

Był to opiekun hrabiego, opiekun majątności i interesów Samoborskich—najpocziwszy w świecie człowiek, który się do niczego nie mieszał, znany w obywatelstwie z zacności charakteru, z prawości

i bezinteresowności, pośrednik we wszystkich sprawach zawikłanych, kompromisarz powszechny. Prezes Mohyla cieszył się szacunkiem a czcią całego obywatelstwa. Złoty był człowiek jednym słowem.. nie miał nieprzyjaciela i wielką miłością a sercem często zwyciężał tam, gdzie wszelka inna siła skrniona została. Orężem jego było to serce... ale jedynym. Tam gdzie przebiegłości, bystrości, strategii potrzeba było, prezes na nic się nie przydał. Oszukiwał go kto chciał: oszukany, prędko zapomniawszy urazy, jedną się z nieprzyjacielem, gotów będąc nawet nazwać go bardzo — statecznym człowiekiem. Samo wejście na czcigodnego starca serca mu jednalo: pogodne, pocziwe, szerokie oblicze, choć wcale niepiękne, jaśniało serdecznością: oczy uader do łez skłonne wypukłe miał, niebieskie i zmęczone; szerokie wargi tak były nawykłe do uśmiechu, jak źrenice do płaczu, i nigdy się z niemi nie posprzeczały. choć łzom uśmiech, a weselu łzy towarzyszyły. Nosił się prezes po francuzku, choć pono te czasy pamiętał, gdy ten strój był w kraju wyjątkowym. Otyłość dodawała mu powagi, a wiek podeszły możeby mniej po nim poznać było można, gdyby nie obrzękle trochę nogi i aksamitne buty. które nosić musiał od lat kilku. Jeszcze wysiadał z karetki z pomocą służącego, gdy już w ganku Zdziś się pokazał, a za nim hrabina, na przywitanie kochanego gościa... Nie brać opiekunskiego grosza, nie przeszkadzać w niczem. podpisywać co chciano, pochwalać wszystko co hrabina zrobiła. kochać Zdzisia. wielbić piękną panią umiał prezes doskonale. i obo-

wiązki te pełnił tak długo. tak pocziwie, iż sobie na najwyższą wdzięczność zarobił.

Z najwdzięczniejszym swym uśmiechem powitała go hrabina — Zdziś wysiadającego pocałował w ramie. Prezes ściskając go, rozplakał się po raz pierwszy... Hrabina Julia wdzięczna mu była za to. Nie mógł się napatrzeć na ładnego chłopca, nacieszyć nim...

Przypadł potem do pięknych rązek mamy i od tych oderwać mu się było trudno...

— Kochany nasz, drogi opiekun — łaskawy, drogi prezes! powtarzała hrabina... Pozwól, bym ci podała rękę, Zdziś z drugiej strony... wprowadzimy cię w tryumfie. — jakies godzien, nasz najlepszy opiekunie... Tyłeśmy ci winni, tyle — drogi prezesie. a mój Boże!

— A! hrabino, pani najłaskawsza — nie upokarzaj usługi swego — mówił Mohyla drżącym głosem — dla mnie to szczęście, że dożył widzieć tego kawalera takim ślicznym, miłym... prawdziwem arcydziełem bożem...

— Mój drogi prezesie!

Nastąpiło po przejściu wschodów w ganku. drugie rąk pięknych ucałowanie.

W bliskości drzwi na uboczu stał profesor, nie zaniebujący przedstawić się prezesowi, witającemu go z rozrzewnieniem nowem. Pana Żabickiego nie było...

— Kochanego profesora!

Uścisnęli się. ale nauczyciel jak należało w ramie pocałował. W paradnych sieniach stała cała służba pałacowa w liberyi. kamerdyner otwierał

drzwi... Wielki salon już tego wieczoru był przybrany kwiatami, we wszystkich kandelabrach gotowe stały świece; wonią jakąś świąteczną, weselną przejęte było powietrze — wielki ten salon pierwszy zwykle tylko służył do tańców i w dni zgromadzeń tłumnych. Szli więc dalej do sali drugiej i trzeciej, również wspaniałych, aby przysiąść i spocząć w ulubionym gabinecie hrabiny Julii. Było to prawdziwe cacko, ze smakiem właściwym gospodyni przystrojone. Wyborowe obrazy zdobiły ściany, między któremi oryginalna główka Greuz'a, niegdyś bardzo do hrabiny samej podobna, zajmowała najgłówniejsze miejsce nad kanapą. Na kominie przepyszne saskie porcelany, których pełno było po etażerkach, nadawały pokojowi właściwy charakter i nazwisko — porcelanowego. Zwierciadło nad kominem w ramach porcelanowych, takież pająk z misternych kwiatów upleciony, mnóstwo figurek i wazonów składały rodzaj ciekawego muzeum. Kosze z żywymi kwiatami, wazon, bukiety wonią miłą napełniały powietrze. Stolik przed kanapą zarzucony był fraszkami kosztownymi, obrachowanymi tak, aby fantazyom gospodyni dogodzić mogły. Flakony, kadzielniczki, dzwonki wytwornych kształtów i najpiękniejszej roboty, lampa w chińskim naczyńiu, pudełeczka i skrzyneczki świeciły i błyszczały laką, drogiemi kamieniami i bronzami. Wszystko aż do podnóżka, na którym nóżki hrabiny spoczywały, było dobrane starannie i harmonijnie do całości tego ślicznego guiazdka.

Prezes zasiadł w fotelu wygodnym, hrabina na kanapie, Zdziś stał na pogotowiu usmiechając się na rozkazy matki, profesor dla utrzymania rozmowy sta-

wił się także. Ale nie mówiono o niczem oprócz wzajemnych uwielbień i czułości. Hrabina kadziła prezesowi, który jej sownie oddawał komplementa.

Widząc, że do tej wymiany słodczy nie jest koniecznie potrzebny, profesor cofnął się do drugiego salonu, gdzie się przygotowywała herbata. Zdziś wysunął się także pod jakimś pozorem; hrabina sama pozostała z opiekunem. Dawano im czas do pomówienia o interesach, o których nigdy podobno nie rozmawiali, bo ani hrabina, ani prezes nie o nich nie wiedzieli i nie bardzo się troszczyli. Przez tyle czasu szły one łaską bożą, że się o nie troszczyć przestano. Profesor miał swą osobistą małą rachubę przechodząc do salonu, w którym słychać było brzęk filiżanek i nakrywanie do podwieczorku. Wiedział on, że tu znajduje pannę Różę Paklewską, o której względy szczególnie się starał. Panna Róża była lat wielce dojrziałych, osobą stateczną, energicznego charakteru, który z pewnych względów własnemu profesorowi nposobieniu odpowiadał... Rozumieli się z sobą i lubili wzajemnie. W Samoborach właściwie panią wszechwładną była nie hrabina, ale panna Róża; ona kierowała wszystkim, a najbardziej samą panią.

Niegdyś piękna Paklewska zachowała po upływie lat czterdziestu twarz czerstwą, zdrową, świeżą i ożywioną. W rysach pozostał ślad dumnego wdzięku, zaostrzony tylko wyrobioną życiem siłą, potrzebą rozkazywania i poczuciem ważności swej roli. Panna Róża nieco przypominała obejściem i ruchami kapitała od huzarów. Mówiła głośno, spoglądała śmiało, rozkazywała stanowczo, nie lękała się ani wzroku, ani mowy, i trzęsła dworem całym, który skinieniem

jej służył. Względem hrabiny tylko była łagodna, uniziona, pokorna, i miłość dla niej czuła czy odegrywała nadzwyczaj szczęśliwie. Hrabina bez niej stać nie mogła, bez jej rady nie uczyniła nic, potrzebowała jej co chwila. i własny brak woli a energii wypełniała charakterem panny Róży. P. Paklewska nie wyjeżdżała na krok, nie oddalała się od dworu, dzień i noc musiała siedzieć przy swej „dobrodziejce“.

Tak zręczny dworak jak profesor, wiedział dobrze iż trzeba było zyskać pannę Różę, aby mieć łaski hrabiny. Nie omieszkął więc żadnej zręczności, by się jej przypochlebić. Można go było nawet posądzać, że się starać zamysła o starą pannę. tak był nadskakujący i miły dla niej, tak odgadywał myśli jej i życzenia. Panna Róża wolałaby była może młodego Żabickiego. na którego często rzucała wejrzenia. ale ten nie nchybiając jej. trzymał się z daleka. Trzeba więc było z biedy zadowolić się poddeptanym profesorem. wielbiacym nadzwyczajny rozum i serce panny Róży.

We dworze panna Paklewska była rzeczywiście potęgą. Przez jej oczy patrzała „anielska“ hrabina: narażenie się jej wywoływało gniew i nieprzebaczoną urazę pani. Nikt dobrze nie umiał określić właściwie, dobrą czy złą była ta wszechmogąca panna Róża. lecz że była niesłychanie zręczna i przy pozornej prostocie niezmiernie przebiegła. o tem wiedzieli wszyscy. Nikt nie mógł jej nic zarzucić. na niczem ją takim poszłakować, coby jej ujmę czyniło, snrowa była dla innych, ale nie interesowana dla siebie. Wiedzano, że hrabina sownie ją obdarzała. lecz i panna Róża była dobroczynna, a pozorną delikatność posuwała do

tego stopnia, że uboższej rodzinie przyjeżdżać do Samoborów nie dozwalała.

Profesor musiał mieć pewne dane o finansowem wyposażeniu panny, gdyż nie byłby posuwał się tak daleko z czułościami dla niej gdyby następstwa zagrażać mu mogły fałszywym rachunkiem.

Właśnie panna Róża zadysponowała stołem podwieczorkowym i rozsypała ludzi po owoce, ciasta i mięsiwa, dla których wskazywała miejsce na stole, gdy profesor z tą samą niemal uniżonością, z jaką witał w ogrodzie hrabinę, przyszedł złożyć jej uszanowanie. Jedyną oznaką bliższych nieco stosunków z piękną (niegdys) panną Różą było, że ją dyskretnie i nieznacznie w rękę pocałował. Obojętnie przyjęła to, spoglądając z góry na profesora wdzieczącego się jej, panna Paklewska.

— Jak to pani być mnsi zmęczona! szepnął cicho; tyle do czynienia w ciągu tych dwóch dni... Nie uwierzy pani, jak mi jej żal i jakbym pragnął przyjść w pomoc.

Na to dosyć grubym głosem, spoglądając protekcyjnalnie, odezwała się panna:

— Posłałabym pana do apteczki, ale się lękam, że byś mi czego nie złasował...

— Na tego rodzaju słodycze nie jestem łakomy! z westchnieniem rzekł profesor.

Panna rzuciła nań wejrzeniem wielce dwuznacznem.. Profesor się uśmiechnął.

Tu nastąpiła przerwa w rozmowie, bo przyniesiono ananasy, którym miejsce honorowe nie kto inny mógł wyznaczyć tylko panna Róża. Obróciła je na-

wet własnoręcznie tak, aby się lepiej i pokażniej wydawały.

— Jutro to dopiero napłynie nam gości — odezwał się profesor — bo hrabina z niewyczerpaną dobrocią swą, nawet najdrobniejszą szlachtę pozapraszała! Porowscy przybiegali aż sami do ogrodu, aby się rozpytać, co się tu święci i jak się mają ubrać na jutro.

— I panna Stanisława była? spytała Róża.

— A jakże! przyleciała jak ptaszek, zaszczebiotała i odleciała... śmiejąc się zawołał profesor. Wystroi się pewnie w co dom ma najlepszego.

— Biedne dziecko! szepnęła panna Paklewska poprawiając ciastka... mnie się zdaje, że jej nasz Zdzis główkę zawrócił, a temnym się nie dziwowała, bo wszystkie panny szaleć za nim muszą.

— Byle tylko on zawczasie za niemi nie szalał — rzekł po cichu profesor, kładąc palec na ustach.

— E! nie trzeba bo być znowu takim rygorystą... odparła Paklewska: — hrabina jest tego zdania, iż lepiej żeby się kochał i romansował, niżby miał jak inną młodzież się zepsuć...

— Zdaje mi się nawet że z tego pozwolenia skorzystał nasz Zdzis, i że się opętanie kocha!

— W kim? spytała panna, jużci nie w Stasi Porowskiej?

— A! nie! rzekł profesor, bo to śliczne i miłe dziewczę, ale wcale nie ideał dla takiego Zdzisia... łatwo pani odgadnie.

— Myślisz pan o Elsie Mangoldównie? uśmiechając się mówiła Paklewska. No — może... Bo też to ślicznuchna, niewinnuchna jak aniołek dziewczeczka...

— A! no, i jedyna dziedziczka bardzo ślicznie-
go kluczyka —dodał profesor. Gdyby się na seryo po-
kochali, nie byłoby nic niestosownego tak dalece.

Panna Róża z pewnym rodzajem oburzenia spoj-
rzała na profesora.

— Zmiłuj się pan! Wiesz przecie kto jest, albo ra-
czej kim był ten baron Mangold... a kim jest i ma być
nasz hrabia Zdzisław! Panienska dla zrujnowanego pa-
nicza z imieniem, nie przeczę, bardzo dobra partya:
ale nasz pan Zdzisław wysoko może sięgnąć, choćby
po księżniczkę... Majątek kolosalny, imię wielkie; a co
się tyczy jego samego, to perła naszej młodzieży...

— Pewnie go nikt lepiej nie ocenia nademnie. do-
dał żywo profesor, ma wszystko: rozum, serce dowcip,
i wrodzony ten urok po matce. który mu jedna ludzi!
Lecz gdyby się tak bardzo zakochał w Mangoldów-
nie...

Panna Róża zbliżyła się profesorowi do ucha:

— Nigdyby nasza pani na to nie pozwoliła, nigdy...
nigdy... dla samego imienia... Powiada, że ma sobie
powierzoną pieczę nad Samoborskich rodziny sławą
i wielkością, i najpierw o nią starać się musi.

— A szczęście syna? spytał profesor, jakby zapomi-
nając się.

Paklewska pokręciła głowę i ręką.

— Wszystko to wywietrzeje mu prędko, to są dzie-
ci! O Zdzisia piękniejsze panny starać się będą... za-
pomni; a Elka też znajdzie sobie łatwo innego... Przy-
tem nie sądzę, żeby te dzieci miały już wymienić
co oprócz niewinnych wejrzeń i uśmiezków...

Profesor uśmiechnął się.

— Pierwsza miłość

— A! a! u was mężczyzn. porywezo dodała Paklewska, pierwsza i ostatnia. obie niewiele warte. na żadną rachować nie można.

— Ja sędzę. odezwał się znacząco profesor. że na pierwszą i—na ostatnią można liczyć śmiało...

Z przyciskiem wymówione „ostatnią“. ściągnęło wzrok panny Róży. która przekonać się chciała. czy peruka miała zamiar dać jej do zrozumienia. iż właśnie tej ostatniej stała się nieszczęśliwym łupem.

Profesor miał postać obżałowego... Cos naksztalt lekkiego zatabaczonego westchnienia wyszło z piersi jego, panna Róża śmiać się zaczęła szczerze. serdecznie. bez gniewu. bez szyderstwa.. lecz nieco niedowierząco.

— Nigdy się nie spodziewała, szepnęła usmiawszy się dobrze, żebyś profesor był takim znawcą nczuć i w nich doświadczonym... A! stary bałamut stary bałamut!!

Rozmowa przelatowała tak muskając różne domorosłe sprawy, gdy we drzwiach od drugiego salonu pokazał się duchowny w czarnej sukni z guzikami liliowemi i wspaniałem distinctorium na łańcuchu złotym... Był to mężczyzna już niemłody blady. pięknej twarzy arystokratycznej, ubrany z wielką elegancją i ruchami zdradzający dawne z salonami pokrewieństwo.

Uśmiechające się usta, przymrużone nieco oczy wyraz twarzy wymuszenie łagodny, odbijały dziwnie przy ruchach żywych. dowodzących temperamentu gorącego. Znać było, że się ciągle usmierzać i hamować musiał.

Był to ksiądz kanonik Starski, proboszcz miejscowy. zaproszony już tego dnia do pałacu, dla zabawienia prezesa. Hrabina ceniła go wysoko, tem więcej, że oprócz przymiotów kapłana. odznaczał się jako salonowy dobrego wychowania człowiek najlepszym tonem i — należał do towarzystwa. Po był dość długi w Rzymie i za granicą, pierwiastkowe zresztą w rodzinie własnej nawyknienia do miżernego świata czyniły go miłym i pożądanym wszędzie... Była to głosem powszechnym zawczasu. już naznaczona do najwyższych dostojęństw osobistość — on kierował częścią religijną wychowania młodego hrabiego, wyborem nauczycieli, książek i wyrobienia zawczasu zdrowych zasad. Tak był jednak delikatnym. iż ucznia zbyt surowo nie trzymał i nie obarczał wcale. pilnując tylko spełnienia ścisłego wszystkich form zewnętrznych.

Hrabina, Zdzisław, panna Róża z uwielbieniem byli dla kanonika. którego cześć i pochwały wszyscy mieli na ustach. Na widok jego panna Paklewska, bardzo pobożna. pospieszyła do ucałowania ręki, profesor się głęboko i uniżenie pokłonił. kanonik uśmiechem słodczy pełnym pozdrawiał wszystkich i cichym kroczkiem postępował do gabinetu hrabiny.

Tu wszyscy powstali na jego powitanie. Prezes z nadzwyczajną serdecznością ścisnął kuzyna, gdyż byli w jakimś pokrewieństwie...

Batystową chusteczką otarł zmęczony kanonik czoło, i zdjął rękawiczki, z pod których ukazał się piękny ametystowy pierścień jakby prorocstwo biskupiego dostojęństwa. Miał też prawo do pończoch

fioletowych, które z pod przepysznej suttanny teraz dopiero na jaw wyszły...

— Prezes o nas zapomniałeś od dawna — odezwał się kanonik żartobliwie. — zaniedbałeś swe obowiązki opiekuńcze...

— Miałem tu wyręczycieli, na których mogłem się spisać — odparł Mohyla — takie anielskie serce matki, taki czuły dozór świątobliwego kapłana, i tak szczęśliwy dobór nauczycieli...

— Już to co się tyczy nauczycieli, cichutenko. pochylając się ku prezesowi i oglądając ostrożnie odezwała się hrabina — muszę się przyznać, że na jednym omyliłam się wielce.

Kanonik głową potwierdził.

— O ile ten stary, pocziwy, nieoszacowany Wilemski jest dla mnie skarbem prawdziwym, — o tyle na młodszym Żabickim zawiodłam się mocno. Zdolny jest to prawda. Zdziś od niego wiele mógł korzystać, ale to było towarzystwo nie najlepsze.. Dostyc powiem w jednym słowie, mogłam się tysiąc razy przekonać o tem, że jest — demagog... Opinie śmiałe, żadnego poszanowania dla tradycji.. Ze Zdziśiem zawsze chciał być jak z równym sobie... Zbyt wiele dumy i zarozumiałości...

— Doskonale go pani hrabina scharakteryzowała — dodał kanonik. — podzielałam w zupełności zdanie jej o nim...

— Mnie to najwięcej oburzało — żywo kończyła hrabina Julia, — że zamiast kochać Zdziśia jak my wszyscy, zamiast go oceniać, zawsze jakies mu musiał dawać admonicje, zawsze występować z jakimis radami, w tym nieszczęsnym duchu de-

mokratycznym, niby to postępowym... Nieraz mnie przyprowadził temu do niecierpliwości, alem się powstrzymywać musiała, starając się tylko, ażeby jak najmniej byli z sobą sam na sam... Szczęściem ta natura pocziwa Zdzisia nie mogła przyjąć zarazy..

Ale go trzeba było odprawić — przerwał prezes

— I byłabym to uczyniła — westchnąwszy rzekła hrabina, —gdyby nie to, że znówu pocziwy stary profesor, o ile zacny, dobry, przywiązany do nas, a już Zdzisia gotów nosić na ręku, prawdę powiedziawszy — wiele rzeczy pozapominał... Żabicki bardzo zdolny... Zdzis przy nim wiele korzystał..

No — i dzis to wszystko już skończone, dorzucił prezes, bo nie będzie więcej potrzebny. Hrabia pojedzie do uniwersytetu...

— Samego nie wyprawię, zamłody jest, — dodała żywo hrabina, — Żabicki niepotrzebny, ale profesora myślę zatrzymać i prosić, ażeby z nim choć na rok pojechał, choćby tylko dla towarzystwa.

Bardzo słusznie! potwierdził prezes — o to serce hrabiny! anielskie jej serce...

— Bardzo słusznie, — odezwał się uni... ksiądz kanonik—lepszego wyboru uczynić było trudno.

— Myślę, że profesor mi nie odmówi tego... dodała hrabina.

I ja sądzę.. mówił prezes. Żabickiego pożegnać!

A tak! zawczasu cieszę się tą myślą — cicho szepnęła hrabina —stał mi się z tą swą ponurą twarzą i milczącym posepnem obliczem, niewypowiedzianie ciężkiem.. Obawiałem się wpływu jego na dworze... Chciał mi zaraz na wsioch szkółki zakładać, chłopców

kredensowych uczył czytać. wdawał się w rozmowy. obalamucal ludzi... Wszystkoby to było mniejsza jeszcze — ale najgorzej. że przy Zdzisiu z takimi nieraz wyjeżdżał ideałami!... No — i maniery jakies rubaszne...

— To są owoce nowszych systemów i doktryn—do-kończył ks. kanonik... Takich to dziś ludzi wychodzi innóztwo... i zaraza wolnomyslności się szerzy...

Profesor powinien był oddziaływać...

— I nic się złego nie stało boć i ja byłam na straży, i zawczasu Zdzisia ostrzegłam.. Chciał z niego zrobić.. jakiegoś demokratę... namawiał go nawet, żeby się nauczył jakiego rzemiosła. Oburzyłam się na to niezmiernie, musiałam już sama wystąpić. i przecie dał pokój.

Prezes ruszał z politowaniem ramionami, ale nie odzywał się wcale. .

Ukazanie się panny Róży we drzwiach było znakiem do przejścia na herbatę. Hrabina podała rękę prezesowi, kanonik poszedł sam z powagą razem i elegancyą, o której nigdy nie zapominał.

W salonie zastali już profesora, Żabickiego. pannę Różę, którą prezes znający stosunki domowe, powitał z niezmierną grzecznością, wreszcie Zdzisia jak zawsze uśmiechniętego i promieniejącego młodością. Ku tej nadziei przyszłości zwracały się nietylko oczy matki, ale całego towarzystwa; on stanowił ognisko około którego krążyły ucznia i myśli przytomnych... Chłopiec dobrze o tem wiedzieć musiał. ale pocziwa w istocie natura nie dozwalała wzbić się w dumę... Matce szło o to, aby mu się dać popisać z dowcipem

przed prezesem. Naprowadziła rozmowę na uniwersytet i wybór przyszłych studyów.

— Ja byłbym za tem—odezwał się prezes, wiedząc, że zdanie jego z pewnością dobrze będzie przyjętem, aby kochany nasz pupil siedł w tem za instynktem własnym, za nieomylną wskazówką natury...

— Niech sam wybiera—szybko dodała matka: byle nie cos obrzydliwego. Matematyka jest sucha, męcząca, to nie dla niego, nadto ma wyobraźni i serca mój Zdzisław — już nawet nie wspominam o medycynie, bo to ohydna rzecz... Dla ciekawości nawet nie pozwoliłabym nigdy! nigdy! — Prawnikiem też nie będzie pewno... na co mu to?...

— Zostaje literatura—rzekł kanonik—najwłaściwsza! historia, języki...

— A! on tak poezye lubi!... zawołała matka...

Wszyscy patrzali na Zdzisława, który się łagodnie uśmiechał.

— O! to pewno, że literaturęby przeniósł nad inne przedmioty...

— Jam to dawno przewidział — szepnął profesor...

Żabicki milczał mieszając herbatę łyżeczką. Kanonik, który naprzeciw niego siedział, spojrzał nań jakoś wywołująco jego zdanie.

— Pan także tak sądzi?—rzekł cicho.

— Literatura — odparł chłodno Żabicki — przynajmniej tyle wymaga pracy co inne oddziały, a obejmuje tak wiele, związana jest z takim ogromem encyklopedycznych niemał pomocniczych nauk... Hrabia Zdzisław będzie miał nadzwyczaj ciężkie zadanie.. Filologia starożytnia...

— Ależ Zdziś nie potrzebuje się kształcić na profesora, z trochę niecierpliwości przerwała matka.

— Powierzchownie zaś obeznając się tylko, niewiele skorzysta — rzekł Żabicki.

Wszyscy spojrzeli po sobie. profesor ruszył ramionami, zamilkli i cisza złowroga oznajmiła nieszczęśliwemu, że się z nim w rozprawy dalsze wcale wdać nie myślą. Spuścił więc głowę i pił herbatę. Zdziś tylko, jakby pożałowawszy go — odezwał się:

— Pan Żabicki ma słuszość. że to morze do wypicia — trzeba będzie dobrze fałdów przysiedzieć...

— Byle nie do tego stopnia. ażeby nabrać pedanteryi — mówiła matka... Obeznąć się z literaturą bardzo dobrze... ale chorować na literata, jak nasi niektórzy wielcy panowie... narażać się na krzyki lada żurnalistów... a! za nic... Tego Zdziśowi nie pozwalam!! nie!

Zdziś się uśmiechnął.

— Nie czuję też w sobie ani talentu, ani powołania — szepnął skromnie.

— Co się tycze talentu, tenby się może znalazł, mruknął profesor, nie chcąc opuścić zręczności przychlebiania się.

Hrabina pogroziła z daleka, Zdziś się zarumienił mocno, Żabicki nieznacznie się uśmiechnął. Profesor szeptał coś po cichu z kanonikiem, który spoglądał na młodzieńca, a panna Róża robiąca herbatę, miała też na ustach półuśmiech dający do myślenia, że i ona o jakimś grzeszku literackim Zdziśa wiedziała.

W salonie zapalono lampy i świece. chociaż od strony ogrodu otwarte drzwi szklane na ganki. je szcze pół-mrok wieczorny wpuszczały. i z po za drzew parku na ciemnych niebiosach podnosił się księżyc ru-miany, który za chwilę oświecić miał okolicę...

Niektóre z osób przy herbacie zgromadzonych, poczęły się wysnwać na ganek, aby korzystać ze świe-żego powietrza... Żabicki pierwszy wstał nieznacznie i poszedł powoli ku lipom stojącym niedaleko, czuł bowiem. że zawadzał towarzystwn. w którym był dys-harmonijną nutą. W chwilę po nim wymknął się i Zdziś. jak gdyby zrozumiał uczucie, które spowodo-wało go do wyjścia... Szukał go w ganku i zbiegł ze wschodków za nim, postrzegłszy siedzącego na ławce pod lipami.

Zapalenie cygara. które w pałacu nie bywało do-zwolone, służyło mu za pretekst... Z wyciągniętą cy-garniczką zbliżył się do Żabickiego...

— Cóżes to tak samotności zapragnął?—zapytał.

-- Lękam się zawsze z czem niewłaściwem ode-zwać — rzekł spokojnie Żabicki. nie umiem nigdy mo-wy zastosować do wymagań osób i miejsca.

— Mnie się zdaje, że to największa zaleta... odparł Zdziś z uśmiechem. Słyszymy tak nieustannie potaki-wania unissono, że w końcu ochotę nawet do rozmowy odbiera... Z wami. kochany panie, ja przynajmniej najlepiej mówić lubię, bo się zawsze czegoś nanczę. o czems dowiem. i myśli mojej nową pokażesz drogę..

— Właśnie mi to mają tu za złe. że wam kochany hrabio, zakazane i fałszywe wskazują scieszki, gdy wasby chciano utorowanym gościńcem prowadzić — mówił Żabicki z pewną goryczą. I na cóż wam to?

Dla was zawczasie wyznaczony kierunek, cel, czas pochodu — wszystko; dla was życie nie powinno mieć tych niespodzianek. w których my sobie musimy szukać wyjścia i wybicia się na światło... Po cóż w istocie niepokoić wasz umysł. gdy może ukołyszany prześnić życie marzeniem? Co innego my, my, co się wszystkiego dobić i dorobić musimy...

— Gdyby nic więcej. to sama ciekawość — przerwał hrabia — wiodłaby do szerszego rozpatrzenia się po tej arenie, na której się nie stanie do walki... A któż może zaręczyć?...

Wierz mi, kochany mój nauczycielu i towarzyszu. mówię to szczerze, ja wam więcej winienem niż innym..

— Niepokoję — dokończył Żabicki. — Tak. przyznaję się do winy: zasiałem tylko może niepotrzebny niepokój w waszej duszy... Wkrótce się rozstaniemy. są to ostatnie dni. które przeżyjemy razem...

— Cóż myślicie począć z sobą? — zapytał Zdzisław.

— .Ja? trochę zdziwiony odparł Żabicki. wrócę do pracy ulubionej, książkowej, za cichy stolik studencki... Ostatnie lata przekonały mnie, że jeszcze wiele uczyć się potrzebuję.

Jakto uczyć się? Czego?

— Zdaje mi się, że zmienię zawód i zostanę słuchaczem medycyny.

— .Jakto? wy? wy? powtórzył Zdzisław zdziwiony; więc moglibysmy się spotkać na ławie akademickiej?

— O tem wątpię — rzekł Żabicki — bo medycyna z literaturą nie ma nic prawie wspólnego

— Ale zkadże wam ta myśl?

— Egoizm — uśmiechając się, dokończył Żabicki — nie znam szczęścia i rozkoszy nad te, jakie daje nauka. Mam teraz środki na poświęcenie jej jeszcze lat kilku... wprost rozpusta!

Zdzisław słuchał milczący.

— Jesteście dla mnie zagadką — odezwał się pomyślawszy — nie przeczę, że nauka miła jest i zajmująca, ale życie! życie! ten sen żywota ze wszystkimi uroczymi marzeniami i fantasmagoryami jego! Jabym rad rzucić wszystkie książki przez okno, skoczyć w te fale, skąpać się i płynąć z niemi...

— A rekiny? przerwał Żabicki. Dla was może los je będzie trzymał z daleka, lecz wiercie mi, nie spieszcie do życia. Teraz macie jeszcze to, co jest jego najdroższym skarbem, największym urokiem: pragnienie... Gdy po jednym złudzeniu rozpraszać się zaczęją, rozczarowanie pogasi lampy tej balowej sali, będzie wam smutno jak mnie...

— Bo wy wszystko czarno widzicie...

— Wiercie mi, że nie z dobrej woli — rzekł Żabicki — powoli zmuszało mnie do tego życie, poczynawszy bardzo zawczasu... Ale po co mówimy o tem?... to niegodziwość z mojej strony psuć wam smak do uczty nakrytej — przebaccie.

— Psuć smak? — owszem — podchwycił Zdzisław — to go zaostrza. Wiecie jak mnie młodość kołysała w miękkich puchach, jak mnie trzymano w różowych obsłonkach... nie dając za nie wyjrzeć dalej. Żyłem więc może złudzeniami tylko — chciałbym skosztować rzeczywistości.

Żabicki zamilkł. Szli ku głębi ogrodu i drzewom... księżyc podnosił się już jak tarcza srebrzysta na niebie — noc była cicha, jasna, ciepła, budząca w duszach młodych uczucia. z których narodzin same przed sobą wypowiadać się nie umiały.

Tę jakąś tajemnicę życia czuł Żabicki i Zdzisław razem. Po za tą niepokojącą ciszą nocy księżycowej, marzyli o przebudzeniu. walce, wrzawie i hymnie bojowym.

Zdała za nimi jaśniał na tle ciemnem pałac wszystkimi oknami, w majestacie architektury, którą noc fantastycznemi pasy cieniów ubierała. W gąszczach drzew dokoła zdały się spotkać tajemnice legend i nasiona dramatów... Kiedy niekiedy po nad nimi zrywała się gwiazdka biczem złocistym pisała jakieś Mane i Tekel niezrozumiałe dla ziemi... W tym błysku może było życie. dramat także, śmierć i zniszczenie... W duszy Zdzisława rosło pragnienie takich błysków na niebiosach...

Szli niemi oba. Wtem od pałacu głos profesora, który hrabiego szukał z rozkazu matki, zawrócił panicza... Podali sobie ręce milcząc, a Żabicki wolnym krokiem posunął się ulicami cichego parku... w którym wszystko utulone spało.

*

**

*

Uroczyście rozpoczął się dzień wielki — hrabina Julia zbudzić się kazała rano; z bukietem świeżych kwiatów, strojna jak zawsze najstaranniej, piękna z uśmiechem na ustach i łąą w okn. weszła do pokoju, w którym jedynak właśnie kończył ranną toaletę. Ze wzruszeniem rzuciła się ścisnąć syna, bukiet padł na ziemię.

— Zdzisiu drogi, niech cię Bóg błogosławi. tak jak cię błogosławi matka! Idź drogą życia kwiatami usłanną, wśród pogody—niech ci słońce przyświeca i omija ją burze... bądź godny imienia twojego i ojców twych, czystym, szlachetnym, pocziwym, prawym... Bóg Abrahamów i Jakóbów... błogosław! błogosław!

Lzy jej nie dały dokonać — Zdziśław ukląkł przed nią i całował jej ręce.

— Jeśli będę, rzekł, czem być powinienem, tobiem to winien, matko droga, sercu co mnie wychowało i przełało się we mnie...

— Niech ci Bóg błogosławi! powtarzała bezmyślnie wzruszona hrabina. Idziesz w świat... między ludzi, którzy są różni, źli i dobrzy — niech cię Aniołowie stróżę prowadzą i strzegą. Drzę na myśl niebezpieczeństw, ale mam w Bogu nadzieję... Byłeś dobrem dziecięciem, będziesz zacyym człowiekiem...

Jak z za chmur słońce, wyjrzał uśmiech z za łez matki. Poprowadziła go do okna: tam stał śliczny powozik warszawski, z którym się dotąd ukrywano na drugim folwarku, zaprzężony czterema siwymi końmi endownie dobranymi... a obok niego nowa służba młodego pana w herbownej liberyi... Oprócz tego w drugim pokoju cały stół był założony drobnymi fraszkami stanowiącemi młodego panicza wyprawę... Z niewin-

na uciechę pobiegł Zdzisł oglądać swoje konie i powóz, i cieszyć się niemi. Kazał objeżdżać po dziedzińcu, każdego konia opatrywał osobno... i sam siadłszy na kozioł powoził siwkami do stajni... Z powrotem do pokojów znalazł w progu pannę Różę, która mu niosła pugilares wyszyty własną ręką, a oprawiony w Warszawie; profesora, który składał na pamiątkę poprawne pięknie dzieła Mickiewicza; od kanonika przepyszny Nowy Testament. od prezesa genewski zegarek z pieczętkami... Sypały się podarki zewsząd... nawet Żabicki przyszedł po cichu ostatni. niosąc rzeźbę na drzewie małą, którą sam wykonał... była to ramka z wienca cierniowego, przeplatana różami, nie potrzebująca komentarza.

W szkatułce ofiarowanej przez matkę. od której kluczyk mu oddała, znalazł Zdzisław trzy tysiące rubli do swojego rozporządzenia. Ucieszyły go one, bo chciał się profesorowi i Żabickiemu czemś wywdzięczyc. Słudzy, którzy kochali Zdzisia, niesli mu też małe podarki i życzenia... Lecz było dosyć i serc wzruszonych szczerze, choć chwilowo. Cały dwór miał powstać świąteczną, wesołą, a ranek letni pogodny choć skwarny, obiecywał dzień piękny. W kapliczce dzwoniło na nabożeństwo... Kanonik już przybył sam celebrować. co żyło we dworze ciągnęło do kaplicy. której ołtarz cały był ostawiony kwiatami, a światło rzeźbiste płonęło na nim... Ze dworków. ze wsi kto żył, kto mógł spieszył do kaplicy na nabożeństwo...

Hrabina Julia zajęła miejsce przy swoim klęczniku cała w bieli, w kapeluszu białym. odmłodzona, jaśniejąca szczęściem, a łzy mająca ciągle na oczach...

Przy niej zasiadł prezes i wcześniej przybyłych osób kilka z sąsiedztwa...

Zdziś na pamiątkę minionych dni sam raz jeszcze służył do mszy kanonikowi... co matkę do łez pobudziło... Wyszła msza święta w białym ze złotem ornatem... odezwał się organek na chórze i z wielkiem ducha wzniesieniem rozpoczęło się nabożeństwo. Czuli się wszyscy rozczerzeni, wzruszeni, a gdy po mszy zaśpiewano „Święty Boże“ i „Przed oczy“... rozległy się głosy daleko w podwórzu i ogrodzie... Kanonik patynę dał do pocałowania matce, synowi, prezesowi, znacniejszym osobom bliżej stojącym, a potem wedle życzenia hrabiny, uroczyście na podróż życia błogosławił młodzieńcowi. Matka rozplakała się tuląc oczy w chustkę... wielu łzy stały na powiekach... bo każdy czuł, jak straszną zagadką jest ta życia podróż, choćby pod najszcześniejszymi rozpoczęta wróżbami.

Gdy potem z kaplicy wychodzić poczęto, wszyscy szli milczący i poważnie, nabożeństwo nastroiło ich ducha ku myślom wielkim a świętym...

Całe podwórze zalegały gromady z wiosek należących do dóbr Samoborskich, ze starszyzną na czele niosące wiejskie podarki i życzenia młodemu panu. Przy każdej stał wybrany orator, który przemawiał krótko tym językiem ludu prostym, wyrazistym, serdecznym, który nigdy nie mówi nic bez myśli, a jeśli mu jej zabraknie, bierze ją z podań odwiecznych, aby oddźwiękła raz jeszcze i na długo brzmiała w pamięci dzieci. Hrabina ze Zdzisiem szła od gromady do gromady, dziękując prosząc o miłość dla syna, przemawiając i witając znajomych. Hukuęli

ludzie podnosząc czapki do góry, na cześć młodego panicza, życząc mu ojcowskiego serca i szczęścia.... Wszystko to było poruszające i majestatyczne przy swej prostocie, a przypominało inne wieki, patryarchalny byt znikły, z którego formy tylko pozostały. Jeszcze się w nich chwilowo odzywało serce, co te węzły niegdys spajało.... Przyjęcie gromad trwało dobrą godzinę, bo potrzeba było pomówić z niemi, i pocziwem słowem zapłacić ich uprzejmość dobrowolną.

W pałacu tymczasem wszystko było w niezmiernym ruchu i przygotowaniach... Podawano śniadania dla jednych, dla późniejszych gości gotowano ucztę, przystrajano salony, panna Róża w czarnej sukni jedwabnej z różą we włosach na cześć młodego pana ułożoną, z kluczykami u pasa, biegła, krzątała się, wołała, rozpaczała...

W sali przy gabinecie hrabiny stało śniadanie nieustające, bo goście z sąsiedztwa przybywali ciągle. Sama gospodyni poszła drugi raz się przebrać dla uczczenia dnia tego... Prezes cygaro palił w ganku siedząc z kanonikiem, któremu tam po mszy kawę podano. Profesor dworował gdzie i jak mógł, usiłując przypodobać się wszystkim. Jeden Żabicki ze mszy poszedłszy do swojego pokoiku w oficynie, czując się tu niepotrzebnym, siadł do książki i zatopiony w niej czytał. Tak upływał poranek i zbliżało się południe. Dzień stawał się skwarniejszym i mimo utrzymującej się dosyć pogody, straszył chmurami i burzą na południe.

Sąsiedztwo proszone było na obiad,—i około godziny drugiej, powozy z różnych stron ukazywać się

już zaczęły. Porowski z córką panną Stanisławą, ubraną w białą sukienkę z niebieskimi wstążkami i bukietem bławatów sam w czarnym fraku i odświeżonych rękawiczkach z kapeluszem odwiecznym w ręku, przybył jeden z pierwszych. Dziewczę mimo śmiałości i wesołości, która go nigdy nie opuszczała, weszło nieco oniesmielone do tych sal ogromnych, które po szczupłym dworku królewsko się jej zawsze wydawały... Szczęściem hrabina już była w salonie na jej przyjęcie, i ze zwykłą swą serdecznością i dobrocią powitała kochanych sąsiadów...

Właściwie rzekłszy widok jej mógł raczej oniesmielić więcej jeszcze, niż dodać odwagi, tak na ten dzień wystąpiła po pańsku. Morowa suknia popielata z zielonemi ozdoby, oszyta koronkami, perły i brylanty zdobiące jej szyję i ręce, dyadem kosztowny ze szmaragdów z brylantami we włosach, nadawały jej uroczystą postać... Wrodzony wdzięk i swoboda ruchów ten stroj czyniły jakby stworzonym dla niej, nie znać było, że się ubrała. tak jej z tem było naturalnie. Piękne rysy zdawały się też na dzień ten nowym blaskiem oblane i odżyły jakąś młodością. Wszyscy unosili się nad pięknością hrabiny; lecz niczem ona była obok wyrazu dobroci, jakim promieniała. Każdy przy niej czuł się swobodnym, i Stasia, która na chwilę straciła swą szczebiotliwość ptaszącą, odzyskała ją zaraz po przywitaniu z hrabiną. Zdziś też zbliżył się do zarmienionego dziewczęcia, a że już kilka było pańienek, Stasia znalazła się po chwili zupełnie swobodną i znikła ze swemi bławatkami w tym tłumie.

Powóz po powozie teraz zajeżdżał przed ganek wchodzili goście coraz nowi, i salony zapelniały się najdziwniejszym zbiorem postaci, z których wiele mogłoby już było stanąć w muzeum starożytności. Społeczność szlachecka, dawniej szczególnie składała się z tak rozmaitych żywiołów, iż w sobie stanowiła mikrokosmos zupełny, od najidealniejszych istot do najpoziomszych. Tradycya jakaś równości wiązała te różnego wykształcenia warstwy, należące do wieków wielu, w całość mniej więcej spójną. Przymus wyższego wykształcenia dzisiejszy jeszcze nie przeszedł był równając w istocie jedną przynajmniej powierzchnością, jeśli nie jedną wartością części składowych. Salony też wyglądały osobiście i charakterystycznie, bo w nich z prawem obywatelstwa stała kapota szara obok aksamitów, i suknia prababki od święta, dobyta z sepetu, obok świeżuchnych koronek brabanckich, opalone twarze i ręce obok białych i wypieszczonych, oblicza surowe i zmęczone obok wesołych i promiennych... niekształtne postacie złamane pracą powszednią obok swobodnych i wykarmionych próżnowaniem... Mieszało się to i zlewało w piękny fantazyą obraz... dobierały się z tych części grupy osobielsze, jakichby artysta pozazdrościł. Wesołość i ożywienie panowały wszędzie. Hrabina uprzejmie zajmowała się paniami, prezes starszyzną mężką. Zdziś młodzieżą, profesor pełnił służbę adjutanta przy wszystkich wodzach na przemiany. Jeśli obowiązki gospodyni sprowadzały na chwilę pannę Różę do salonu—widać było jak całe sąsiedztwo wielkie dla niej miało poszanowanie i cześć dla znaczenia w Samoborach; cisnęli się wszyscy dla przywitania. przypomnie-

nia. choćby dla pokłonu znałeka. Panna Paklewska z pewnem zadowoleniem przyjmowała te hołdy a względem niektórych stawiała się nawet z protekcyjonalną jakąś dobroduszością. Znać też w niej było, że długie pożycie przy róży-hrabinie, trochę jej zapachu udzieliło towarzysze. W ruchach, mowie, pewnych sposobach obejścia się, mimowolnie może naśladowała panią Julię—co nie zawsze szczęśliwie się jej udawało...

Już salony były pełne, gdy nowy turkot i klaszkanie z bata jeszcze o jednym gościu oznajmiły. Łatwo się go było miejscowym domyśleć, po godzinie przybycia tych nieco spóźnionych choć jednych z bliższych sąsiadów. Zdziś usłyszawszy klaskota, przedarł się przez tłumy i pobiegł sam do ganku. Hrabina poruszyła się nieco, chcąc także wyjść na przeciw...

W tłumie słychać było szepty: — Mangoldowie! Mangoldowie!

W tejże chwili we drzwiach otwartych ukazały się dwie postacie, mogące ściągnąć wzrok, chociażby ich tak niespokojna zapowiedź nie poprzedzała. Średnich lat mężczyzna słusznego wzrostu, pięknej postawy, szedł prowadząc pod rękę młodzusienną panieneczkę, zaledwie wykwitującą z pączka.

Mężczyzna miał pseudo-arystokratyczny pozór, o który widocznie pilno się starał, trzymał się prosto, aby na świat patrzeć z wysokości, oczy miał nieco przymrużone, wargi rumiane wydęte, zresztą twarz jego nie brzydka, mimo nadanego jej sztucznie charakteru pańskiego, pospolitą była i nie pociągającą.

Strój dosyć smakowny, psuła tylko jedna ręka z wielkim brylantowym pierścieniem na palcu...

Małego wzrostu panieneczka, którą prowadził pod rękę słuszny mężczyzna, była drobniutka, leciutka. miała w sobie coś motylka i sylfidy. Na pierwszy rzut oka widać w niej było pieszczone dziecko. śmiejące się do życia, bo mu się życie śmiało. Główka z rysy bardzo regularnymi dziwnej piękności. okryta całą bujnym ciemnym włosiem, odrzucona nieco na ramiona, czarnymi żywymi oczyma strzelała do koła, usteczka malinowe, drobne uśmiechały się wesołem... Cała postać kształtna z drobnymi rączkami i rękami, coś jakby porcelanowa figurka, którą artysta szczęśliwej wymodelował chwili, zdawała się stworzoną do postawienia na półce, na ołtarzyku i do przypatrywania się znawcom. Piękniejszej a wdzięczniejszej wymarzyć było trudno. Mało było może w oczach już iskrami sypiących, za mało serca w ustach, ale też dusza i serce spały jeszcze zapewne w tym pączku.

Wchodziła pewna uwielbienie i szczęśliwa niemi. jakby artystka przez dyrektora wyprowadzana na scenę.

Sukienka biała koronkowa na jedwabnej różowej, osypana pączkami róży mchowej, pączki we włosach, składały cały strój... Czarne tylko włosy kilka razy były ujęte i przeplecione sznurem brylantów. które z różami i pączkami młodego dziewczęcia nie zupełnie się godziły. Białe wachlarzyk z kości słoniowej, jak koronka rzeźbiony, i koronkami suto oszytą chusteczkę trzymała w ręce małej.

Za baronem Mangoldem i piękną Elszą szła jeszcze jedna kobieca postać. jakby dla kontrastu przydana umyślnie. Była to kuzynka czy nauczycielka. może oboje razem w jednej osobie, nadzwyczaj brzydka, bo zeszpecona ospą, ale dość zręcznej figury i wielce ożywiona. Zastępowała ona dowcipem i przytomnością umysłu czego jej natura odmówiła we wdzięku. Strojna z przesadzoną elegancją. z mnóstwem ponsowych kokard i całym krzakiem zieleni na nieco wyłysiałej głowie szła szydersko się oglądając i szepcząc coś do pana Zdzisława. który jej towarzyszył.

W pół salonu z nadzwyczajną czułością i grzecznością przyjęła tych gości hrabina. Pan baron Mangold i przy powitaniu nie tracąc sztywności i powagi, dosyć zimno się przywitał. Pieszczone dziecię ze śmieszkiem zadowolenia przyjęło uścisk hrabiny. Ja i kuzynkę pannę Helę posadzono na pierwszych miejscach. Baron z kapeluszem w ręku pozostał w środku salonu, spoglądając po tłumie i niezmiennie niektórym znajomym oddając ukłony.

Szlachcic z długimi wąsami zbliżył się do profesora.

— Czy to Mangoldowie? — zapytał.

— A tak jest...

— Domyslałem się.. na wielkie to państwo wygląda..

— Bo też słyszę i są wielcy panowie.

Kiwnął szlachcic głową i zażył tabaki—profesor w żadne objasnienia nie rad się był wdawać. musiał się więc ciekawy udać do drngiego obywatela, zdala

na krześle oczekującego na obiad, dla którego pono przyjechał.

— Zna kochany pan tych baronów Mangoldów?

— He? — odparł siedzący — a no! tyle co wy i co wszyscy podobno — któż to zna i wie? Mangoldowie — Mangoldowie. i po wszystkim. Przybyli z workiem pieniędzy. kupili piękny majątek. urządzili się po pańsku i żyją — i tyle.

— To powna — wtrącił trzeci, który się przymieszał — że nawet dobrze i na pewno nie wiadomo z kądem tu przyszło. i tylko. że z pieniędzmi. A u nas i na całym świecie kto je ma, ten praw i więcej mu nic nie trzeba. Kupi sobie czego mu brak — choćby i antenatów... Zdaje się — dodał — że to galicyjskiego pochodzenia państwo... a że tam różne zdawna elementa pomieszane... któż zgadnie czy to kość słoniowa, czy końska? He! he! Mówili mi gdym był we Lwowie. że tam bywał Mangold, który się tęgich pieniędzy dorobił szczęśliwie na jakichś szachrajkach... Miał być żonaty pono z baletniczką.. Albo to ten sam lub inny.. Wygląda pysznie...

— Panienska caceczka..

— Baron! — rzekł szlachcic.

— A! baron...

— Patrzy też na nas z góry...

— A my nań też możemy jak się nam podoba.

— Pieniężny bardzo — byle dobra się trafiły... on pierwszy do kupna.

— W domu. słyszę. fraszka u naszej hrabiny.. wszystko od złota, marmurów i aksamitów.

— A czego ma sobie żałować!

— Ze szlachtą nie żyje — dodał ktoś z boku.

— Bo niewiadomo czyby szlachta z przybłądą żyć chciała — szepnął inny...

W czasie tej rozmowy baron się przysiadł do prezesa Mohyły, który jak zwykł być dla wszystkich, i dla niego też z niezmiernym respektem i uniżonością się oświadczał. Mówiono mało tak, że Mangolda posądzićby można, iż niewiele miał do powiedzenia, bo to z czem się odzywał, było trywialne i nic nie znaczące, ale wygłaszane z wielką pewnością siebie. Kuzynka Hela szczebiotała za niego i za Elkę, która więcej się uśmiechała, niż mówiła.

Gdy się to działo w salonach z jednej strony pałacu dla zabawy przeznaczonych. z drugiej w ogromnej. długiej sali, której ściana jedna cała była w oknach na ogród i przybrana kwiatami. zastawiono stoły na te paręset osób. które zaproszone zostały.

Naprzeciw okien wisiały rzędem portrety rodzinne stare, ale w nowe ramy przybrane—a było ich tyle, że całą ścianę zajmowały. W końcu szafy kredensowe pełne sreber zdobiły wielce nakształt portyków z drzewa dębowego rzeźbionego urządzony bufet. Część jego otwierająca się na korytarz służyła do podawania potraw, które misterny mechanizm przenosił wprost do sali. Długie dwa stoły w kształcie olbrzymiej ustawione podkowy, oczekiwały już na gości z piramidami cukrów i ciast, z wazami srebrnymi w pośrodku, z naczyniami porcelanowymi do kwiatów... Zastawa była książęca. a panna Róża mogła się gustem, z jakim ją urządziła pochwalić. W przeciwnej bufetowi stronie po nad drzwiami prowa-

dzącemi do sal bawialnych, szerokość całą zajmowała galerya dla muzyki, która już stroiła się tam do grania... W górze słyhać było głosy i śmieszki artystów mających patrzeć o głodzie na ucztę sardanapalową.

Zarządzający jednak dworem pamiętał dla nich o śniadaniu i o zapasie butelek, by mieli czem się pokrzepiać. Obiad już w kuchni miał być gotów znak wydany dla służby—gdy niebo, które się ciągle od rana chmurzyło i skwar coraz się powiększający—zaczęły nadciągającą burzę zwiastować. Od zachodu-południa stała na widnokręgu na pozór nieruchoma ścina obłoków. powietrze stawało się ciężkie, cisza złowroga. jak zwykle poprzedzająca nadejście chmury—od godziny już ciążyła nad okolicą... Nagle w chwili gdy do stołu już znak dać miano, zerwał się wichor gwałtowny niosący kurzu tumany z dróg na pola, drzewa w parku zaczęły się kołysać i giąć ku ziemi, kilka błyskawic przerznęło mroki i z dala grzmoty raz po raz słyszeć się dały... W salonach zrobiło się tak dziwnie ciemno, jak gdyby wieczór nadchodził. Ponieważ hrabina lękała się piorunów. co żywiej zaczęto zamykać okna... Goście, którzy byli powychodzili na ganki i do ogrodu, uciekali do pałacu; wiatr łamał już gałęzie drzew i obalał wazony na galeryach... grad, deszcz i pioruny z niesłychaną gwałtownością nagle opasały całą okolicę i bić zaczęły w okna i ściany. Dwa czy trzy strzały padły w ogrodzie .. ziemia w chwili zabielała od krpilodu... wszyscy strwożeni stali w niemem oczekiwaniu końca. Hrabina szczególniej zdawała się przerażoną—blada, drżąca, z załamanemi rękami modliła się po cichu.

zapomniawszy o tem, co ją otaczało a myśląc tylko o przepowiedni, jaką dla niej była ta burza w dniu uroczystym, poświęconym jej dziecięcin. Nie przyznawała się ona do wrażenia, jakiego doznawała, ale się go łatwo domysleć było można. Obiad musiał być wstrzymany. Zdawało się, że gwałtowny ten uragan, który spadł nagle, powinien też być przejść rychło — inaczej się jednak stało. Pierwsza burzy wściekłość minęła, lecz ulewa i pioruny nie ustawały, a że godzina była spóźniona i kucharz groził tem, iż pieczyście będzie szkaradne, musiano otworzyć pochód do sali jadalnej... Z towarzyszeniem piorunów muzyka na gałeryi rozpoczęła uroczystego poloneza, i pary, na których czele szła hrabina z Mangoldem... posunęły się ku jadalnej sali.

Wszystko co żyło pociągnęło zajmować miejsce przy podkowie, dobierając sobie właściwe towarzystwo i otoczenie. — Zdzisław i domowi pozostali na nogach dla usłużenia i rozmieszczenia gości. Co chwila błysk i piorun z drażliwszych nerwów wywoływały ciche okrzyki, ale wkrótce nalane kieliszki, dźwięk muzyki, wpływ towarzystwa dozwoliły zapomnieć o niepogodzie. Hrabina tylko pozostała zamysłona i smutna, a Mangold mało mówny wcale jej nie umiał rozweselić. Zdawało się, że przepych pański tego domu i wspaniałość przyjęcia, czyniły na nim jakieś przykre wrażenie... oglądał się z pewnego rodzaju sarkazmem w twarzy. Piękna Elsa w dobrem towarzystwie pań i panienek milczącą też była i także nie zdawała się z niego zadowoloną. Odpowiadała mało na pytania, a ze szczególną niechęcią spoglądała na śliczną Stasię, którą była wesola i w najlepszym w świecie humorze

Zdzisław tylko przechadzający się za krzesłami i często zbliżający się ku baronównie, zyskiwał od niej łaskawsze wejrzenia i weselsze słowa.

Szpiegowła go Stasia ile razy się tam zbliżał. i figlarnie spoglądała na niego z dziecinną swawolą kiwając lub grożąc mu nieznacznie. W połowie obiadu burza zwolna ustawać zaczęła, wyjaśniło się niebo — chmury rozrywały, wiatr łagodniał i na zmoczony krajobraz parku słońce ku zachodowi zniżone spojrzało ozłacając zieleni świeżą, obmytą w deszczowej kąpeli. Na czarnej jeszcze nieba części, tęcza z żywych kolorów uwita zakreśliła łuk swój promienny. którego konce tonały gdzieś w zielonych głębinach...

Wszystkie czoła rozjaśnił powrót pogody. hrabina nawet uśmiechnęła się... muzyka zagrała rażniej, a prezes wstał z kielichem do zdrowia gospodyni..., To było hasłem wrzawy i powszedniego rozweselenia... Mężczyźni wszyscy. wielbiciele milej a słicznej pani pili na kłęczkach. wykrzykując. niektórzy szli białe rączki całować, syn ścisnął jej kolana. Zatem prezes powtóre zadzwoniwszy w kielich. powiedział mowę ku młodzieńcowi wielkich nadziei, którego urodziny obchodzono. Nie był on mówcą wielkim, jakaś się i poprawiał, wyrazów często mu brakło. niektóre do zbytku się powtarzały — ale mówił od serca i płakał sam. co jest zawsze najlepszym rozczerlenia drugich sposobem. Ściskano się i łzy toczyły się z miększych powiek. Zdziś opiekunowi dziękował, prezes go sciskał a całował gwałtownie... Mangold stojący z kielichem uśmiechał się po trosze...

Poszło za tem zdrowie opiekuna z wielkiem przejęciem wypite, a muzyka buchnęła głośna fanfarą. Raz

rozpoczęta kolej na tem się skończyć nie mogła, więc Mangolda, sąsiada łaskawego, płci pięknej, szanownego obywatelstwa, aż do—kochajmy się... Butelki szampana pękały jedna po drugiej, ale było go przysposobionego tyle ile osób — więc nie mogło zabraknąć piwnica przytem gotowa była z sukursem pospieszyć.

Pootwierano okna, bo wieczór po burzy był znowu cudowny. powietrze stało się świeżem i wonnem... Mało kto już jadł, ale gwar i szcęk szkła napełniały salę, tak, że często muzyki słyszać nie było... Dla tego tylko, że wszystko na świecie skończyć się musi obiad w ostatku jakimś toastem mglistym dopełniony dobiegł do końca... Zagrano poloneza, pary pociągnęły się nazad ku salonom, ale nie w tym już porządku jak szły do obiadu... Większa swoboda panowała w chodzie, który się porozrywał i rozproszył. Jedni wybiegli na ganki i galerye, drudzy na ścieżki osychające ogrodu...

Zdziś szczęśliwie bardzo dopadł rączki pięknej baronówny, aby ją odprowadzić na miejsce. Znać było po nim jaką do tego przywiązywał wagę, a po niej, że o tem doskonale wiedziała, i że trochę była tem dumna.

— Wie pani, co mnie dziś najszczęśliwszym uczyniło? — spytał po cichu.

— Nie zgadnę — szepnęła Elsa — doprawdy nie zgadnę. Mówiono mi, żeś pan dostał śliczne cztery koniki...

— A! co mi tam po nich!

— I mnóstwo różnych prezentów..

— Nie to wszystko... nie!

— To już chyba nie zgadnę j'y r  nonc  .

— Oto — doda  ciszej  dzis  zem m  g      przez chwil  poda  jej r k  i z ni  i   razem.. Uwa am to za przepowiedni .

Nic nie m wi c dziewcz   mu w oczy spojrza o jako  ch odno...

— A gdyby  pani szcz  śliwego chcia a uczyni c najszcz  śliwszym — m wi  Zdzis  w — toby  mo e tak e na pami tk  dnia tego obdarzy a...    by jednyn p czkiem r  y... pani ..

— Chcesz pan?—spyta  Elsa. r czk  odrywaj c od sukni  adany p czek...

— B agam — prosz ... zachowam go na zawsze..

Elsa z u miechem poda a mu nieznacznie  w p czek r  y, kt ry — niestety! by  p czkiem robionym w Pary u i mistrzowsko przedstawia  — ow  istot . kt ra si   yw  r    nazywa.

Zdzis  w pr dko schowa  go jak skarb najdro szy, pochwyci  malutk  r czk  i poca owa . Dziewcz  patrzya o na  z pewnego rodzaju rado ci  i pych , ale bez uczucia.. zdawa o si  nierozbudzonem niby sennem. U miech jej dziecinny nie by  weso y, spojrzenie nie mia o wyrazu. przypomina a istot  somnambulizmem tajemniczym skr powan . By  to p   sen, p   jawa... Zdzis  w rozbudzony do zbytku, dr a  ca y i wzrokiem napr  no szuka  w niej duszy... laleczka u miecha a si ...

— Daj  panu pierwszego kontredansa!

M wi a to jak kr  wa. kt ra poddanemu wy wiadcza  ask  wi ksz  nad wszelk  jego nadziej ...

Zdzis  w zaczyna  dzi kowa . gdy kuzynka He a, kt ra oddawna usi wa a przyj   w pomoc Elsie

dobila się do nich i rece im spojone rozerwała. cisnąć się między dwoje...

— A to pięknie! zawołała — hrabia zapominasz o wszystkim i o wszystkich. Hrabina pana szuka wszędzie... prezes woła... a pan mi moje dziecię bałamucisz...

— Do pierwszego kontredansa! powtórzyła z zimną krwią nieporuszona Elsa.

— Tysiączne dzięki... zawołał Zdzisław uchodząc.

Elsin! szepnęła Hela — zmiłuj się! tysiące oczu patrzają na ciebie... nie można... tak po cichu rozmawiać z młodymi ludźmi...

Elsa nie odpowiedziała... zdawało się że nie rozumie co mówiono do niej — szepnęła tylko cicho jeszcze raz:

— Ale cóż tam! do pierwszego kontredansa!

Zapalano kandelabry, roznoszono kawę i likwory. mężczyźni wysiwali się na cygara do ogrodu... Zdzisia wszystkich panien oczy łapały po drodze, a Zdzisł jedną tylko widział słiczną, uroczą, jak sfinx milczącą Else...

*

*

*

Pod kasztanami w parku. patrząc na oświecony pałac. z którego słychać było dochodzącą muzykę bałową, siedziało dwóch mężczyzn podżyłych. Przez

otwarte drzwi szklane widać było przemykające się pary... które ukazawszy się w świetle i zakręciwszy jak muszki w promieniu słońca, nikły gdzieś uniesione szaleńcem...

Za niemi wylatywały drugie... i trzecie, i jakby na skrzydłach niesione znowu wiły się i tonęły w mrokach. Dwaj starzy spoglądali z dala i szepecząc po cichu wdychali. Czasy ich wesela i skoków dawno przeszły, oni już ledwie chodzić mogli po tej ziemi lub wlec się.

— Co waćpan na to, panie kapitanie? odezwał się jeden — szlachcie w kapocie z podstrzyżonym wąsem.. Co waćpan na to!

— A cóż? nic — wdycham i polecam ich Bogu. rzekł kapitan spokojnie. Tym kapitanem był pan Porowski ojciec pięknej Stasi, blizki sąsiad Samoborów — człowiek mimo swojego wojskowego tytułu dziwnie łagodny, dosyć milczący i nawykły do patrzenia na świat z rezygnacją żołnierza stojącego na placówce wśród burzy.

— Ja ich też Bogu polecam — odparł wąsaty.. a niemniej radbym, żeby i ludzie trochę się niemi zaopiekowali. kiedy oni sami nie mogą czy nie umieją... Żal mi z duszy i tej najpocześniejszej matki i tego miłego chłopca... z ich nawyknięciami pańskimi, z ich nieświadomością jutra i nieogłędnością... Co to będzie? co to będzie?

— Ale bo może też — podchwycił Porowski — rzeczy są przesadzane... Zazdrośni ludzie plotą częstokroć to, co ich brzydkiej namiętności dogadza. Czyż to może być, panie sędzio, aby człowiek taki jak pre-

zes ślepym być miał? aby matka nie nie przeczuwała? aby ich ktoś życzliwy nie ostrzegł?

— Mój kapitanie, wiesz przysłowie — odezwał się sędzia — quem Jupiter perdere vult...

— Za cóżby ich ten los miał spotykać?... przerwał kapitan.

— A ojców winy? któż to pojmie i kto to zrozumie — kara za ojców grzechy?... jednak ją codzień widzimy...

— Więc proszę kochanego sędziego, jeszcze mi raz opowiedz, jeśli wiesz dobrze, jak rzeczy stoją?

— Że wiem o tem dobrze. o tem acan dobrodziej nie możesz wątpić — odezwał się sędzia gładząc wąsa. Jestem stary, miałem styczności z prawnikami, sam po trosze jurysta, żyłkę też zachowałem do procesów i spraw spornych... Ze szczególną attencyą przeglądałem papiery.

— Bądźże łaskaw — ab o vo, jak rzeczy i do czego doszły — przerwał Porowski — niezmiernie ciekawy, bo coś niecoś słyszałem. ale dokładnie nie umiem nic, a widząc jak tu w świętym spokoju wszystko sobie idzie niezmaconym trybem, skłonny jestem sądzić, że ludzie chyba przesadzają. Nie jużby też ci, których to najżywiej obchodzi. najobojętniej na to patrzeć mieli!

— Czasem się trafia — odparł sędzia — są takie natury szczęśliwe, co niebezpieczeństw nie widzą, i to im strapien przedwczesnych oszczędza... Ale wróćmy do góry...

Musimy najprzód pójść do góry aż do dziadka i babki hrabiego Zdzisława, który oto w tej chwili kontredausa skacze z tym rajskim ptaszkiem Mangol-

dówną... Dziad. pan wojewoda, miał dwóch synów. ojca hr. Zdzisława. któremu było imię Aureli, i drugiego Sebastyaną młodszego, garbatego i nie miłego obojgu rodzicom. Matka tam, wojewodzina, znacznie od męża młodsza, rej wodziła w domu... przez jej oczy mąż patrzył. Aureli, już pono w kolebce starosta, był ukochanym. był jedynym. . Gdy się Sebastyanek urodził, już matka go nie lubiła za to. że faworytowi miał i serca i majątku część odebrać.

Wzmogła się ta niechęć, gdy dziecię za oczy dane na mamki i nianki, okazało się ułomne. może z ich winy. i bardzo brzydkie. Matka na nie patrzeć nie mogła.

Świetnemu wychowaniu starszego syna poświęcili się rodzice, młodszego zaniedbano zupełnie w tem przekonaniu, opartem na zdaniu lekarzy. iż ułomne owo stworzenie żyć nie będzie. Tymczasem los. ów wielki szyderca. zadrwił sobie z rachub wojewody i wojewodziny: Sebastyanek brzydki. krzywy. z podwójnym garbem. z ogromną głową spiczastą, z długimi rękami. chował się zdrowo, a co gorsza zaniedbany, uczył się. pojmował wszystko daleko łatwiej od brata. Spadały nań tylko okruszyny ze stołu pańskiego. nauczyciele jak z grzeczności i łaski coś tam mu zadawali, czegoś go uczyli. ale chłopak zgadywał i sam wyszukiwał więcej niż starszy, około którego wielce się mozolono. Rzecz za ledwie do wiary podobna, że tajono niemal istnienie garbusa. nie pokazywano go światu, wstydziła się go matka. ojciec ledwie znosił. Łatwo pojąć, że pokrzywdzone dziecko nabrało zazdrości i niechęci do brata, przed czasem nauczyło się nienawidzić...

Rodzice tymczasem. a raczej wojewodzina sama ciągle z tą myślą chodziła koło męża, aby dla starszego zrobić majorat, a Sebastyana wydziedziczając, małym udziałem tylko zaspokoić. Dowodziła. że majątku nie potrzebował, i użyćby go nie potrafił. Chciano go do klasztoru oddać, próbowano do jezuitów, zkąd wszedł do pijarów, którzy go odesłali do dominikanów, gdzie pobywszy oświadczył otwarcie, iż sukni nie weźmie. Musiano go odebrać nazad. Charakter wyrobił się w nim krnąbrny, zacięty, ponury, milczący. Pobyt po klasztorach nie był dlań bez korzyści, bo uczył się chętnie wiele i łatwo, a wszędzie nabył coś dla przyszłości, otwarcie tylko oświadczać, że zakonnikiem ani duchownym być nie chce. Żadenby też klasztor był go nie przyjął, bo wszędzie gdzie był siał wątpliwości, i śmiałemi mowami drugich gorszył. Przyznawano mu zdolności nadzwyczajne, ale też zarozumiałość szatańską i sceptycyzm nieprzełamany.

Jeszcze za życia obojga województwa rozporządzono majątkiem, zmieniając jego naturę, i czyniąc dział między synami tak, że Samohory z całemi prawie dobrami do nich należącemi, przeznaczone zostały Aurelemm, a Sebastyanowi jedna wieś poleska, duża, ale licha, z wielkim obszarem piasków i lasów. Peryferya ogólna obu majątności była równa, ale wartość ich tak się miała do siebie, jak jeden do dziesięciu. Rodzice wymagali, po dojściu do pełnoletności Sebastyana, aby zgodę na dział ten podpisał, grożono mu, zmuszano, oparł się...

— Uczynicie jak się wam podoba, rzekł, ale po cóż ja mam to uświęcać podpisem, kiedy samowolny nie jestem? po co tu mój podpis?...

Puszczono Hrudzie Sebastyanowi zawczasu. pojechał w te lasy. zaszył się w nich i więcej nie pokazywał. Z bratem rozdzieleni w początkach. trzymani osobno, pozostali sobie zupełnie obcymi. Hrabia Aureli był człowiek światowy. miły, ukształcony. lekki. nie uchybił nigdy bratu. ale go też do siebie przywiązać nie umiał...

Sebastyan z tego wychowania domowego. szkolnego i klasztornego. a odsmięcia od ludzi wyniósł pewny rodzaj dzikości, oryginalności i mizantropii. z której go nie wyleczyć nie mogło. Nie było więc dwóch natur sobie przeciwniejszych nad tych braci. z których jeden podobny był do Francuza ze dworu Ludwika XIV go. drugi do chłopu w kapocie. Po śmierci wojewody Sebastyan na pogrzeb przybył: wojewodzina. która go nie widziała od dawna. przerażona była niemal jego widokiem, ubrał się czarno w kir. a z prosta. i stroju zmienić nie chciał. Dla matki z uszanowaniem będąc. nie zbliżał się do niej. od brata stał z daleka... Chciano go po pogrzebie zatrzymać znowu z powodu tego działu. testamentem do pewnego stopnia uświęconego — ale zawczasu się pożegnawszy. do Hrudzia odjechał. Wszystko to zapowiadało sercu wojewodziny. że majątkowego rozporządzenia nie przyjmie. i że Aurelek będzie musiał się z nim prawować.

Za życia matki jednak nic się więcej nie objawiło: w parę lat zmarła pani wojewodzina. powołany na pogrzeb, przybył z Polesia pan Sebastyan w sukmanie z kiru. czarnym pasem podpasany. w czapce baranej czarnej. opalony. do wieśniaka podobny...

Gdy się wszystkie obrzędy odbyły. zaprosił go brat Aureli do siebie. Byli sam na sam, gdyż w towarzystwie nie sposób było mieć Sebastyana, który się ze wszystkich jego form wylamywał, odzywał zuchwale i szydersko i ludzi przestraszał. Aureli nie rozpoczął wcale sprawy majątkowej, zagaił ją sam ów prostak.

— Panie bracie — rzekł — rodzice w Bogu odpoczywają... póki żyli, spokój ich szanowałem. Majątek, który po nich odziedziczyliśmy, był spadkowy. własność to nie ojca i matki. ale dziadów i pradziadów krwawica. Nie dorobili do niej nic, nie mieli więc prawa rozporządzać inaczej jeno tak, jak każe prawo nasze. Milczałem trzymając Hrudzie. żeś waćpan zagarnął Samobory, ale dział sprawiedliwy uczynić potrzeba...

Pan Aureli niezmiernie ugrzeczniony i delikatny — opowiadał mi to prawnik. który rzeczy był świadkiem — nie śmiał otwarcie przeciwko bratu wystąpić; łagodnie więc odpowiedział, że szanując wyraźną rodziców wolę. kwestyi żadnej się nie spodziewał. że tę sprawę inaczej wcale rozumie. ale prosi pana Sebastyana. aby z prawnikami od niego wysadzonymi pomówił i chciał się wyjaśnić.

Nie wzdragał się wcale garbus zmierzyć z jurystami, bo i sam. snadź w przewidywaniu procesu, prawo dobrze wertował. W przytomności Aurelego wszczęły się rozprawy. ale Sebastian złamać się nie dał i stał przy swoim, nowego się działu domagając.

Wszelkie próby porozumienia spęzły na niczem. Prawnicy wmówili w hrabię Aurelego. że wygrać pro-

ces musi, że akta rodziców były bardzo umiejętnie i prawomocnie ułożone. — Sebastyan więc odjechał z niczem, i sprawa się rozpoczęła.

Trwała ona przez ciąg życia pana starosty, i o czem mało kto wie. ciągnie się do dziś dnia. Chodziła kilka razy do senatu, i powracała do pierwszych instancyj. Samborscy znacznemi zawsze rozporządzając sumami, mając doskonałych plenipotentów, wygrywali ją. ale pan Sebastyan żyjący dotąd. znajdował też zawsze środki zawiązania jej na nowo. Nie pierwszy to proces, który ludzi i pokolenia przetrwał.

Z zajądłością prowadzi go garbms. siedząc w swej dziurze na Polesiu, gdzie, jak mówią, najdziwniejsze ma prowadzić życie. Lekce go sobie ważą, jednakże nieustannie pilnować się potrzeba, bo im pokoju nie daje.

Hrabina i prezes obyci z tem niebezpieczeństwem, przez długie lata wiszącem nad ich głowami, nawykli je uważać za rzecz małej wagi. Widzisz co to tu za przepych i jakie państwo. a głucha wieść już chodzi, że Sebastyan pono. dzięki uporowi swemu i nowym dokumentom, postawił sprawę na tym stopniu. iż prawie wygranej jest pewien... Ludzie mówią, iż się szydersko odzywa:

— Żyłem ja kartofłami i rzepą. będą i oni musieli ich zakosztować... Przyjdzie do kalkulacy — zobaczymy co im zostanie...

Tymczasem tu nikt nie zdaje się ani myśleć o tem, ani przeczuwać...

— Ależ prezes Mohyla — przerwał kapitan — jako opiekun?...

— Znasz waćpan prezesa: jest to istotnie najzaniejszy człowiek w świecie, ale największy pod słońcem cienia. Do niczego się tu nie mieszał wcale... Prawda, że opiekniczego grosza nie brał, ale z majątkami pupila dał matce i prawnikom. a plenipotentom czynić co się podobało...

Kapitan głową pokiwał.

— Ciekawe rzeczy — dodał — przyznam się jednak sędziemu, że słuchając muzyki, patrząc na te festyny... obliczywszy się z latami. — te groźby niebezpieczeństwa istotnie się bajecznemi wydają! Możeż to być. aby tak pięknie smutne życie, byt taki szczęśliwy, nagle ręką jakiegos dziwaka został stargany. I cóż temu Sebastyanowi z tego, że się na niewinnem dziecięciu pomści?.. po co mu te bogactwa?

— A ba! obrzydły ów garbus ożenił się przecie z prostą chłopką, gdzieś na Mazurach... ma dzieci...

— Co pan mówisz! — przerwał zdumiony Porowski: nigdy o nim nie słyszał.

— Mało w istocie kto wie o nim i słyszy — mówił sędzia i ja co wiem: tom się wypadkiem dowiedział tylko. Siedzi Sebastyan ow. stary już człek, w Hrudziu, i życie osobliwe prowadzi, jakby o kilkaset lat w tył się cofnął. Żona się ubiera bogato ale po chłopsku, on nosi siermięgę, stół dostatui, ale prosty... Sam on pono przy pracy w polu stoi i z gromadą swoją za pan brat. We dworze wszystko gdyby w chacie, ławy drewniane, stoły z drzewa niemalowanego, piece gliniane... woda z wiadrem przy drzwiach. Chleb razowy... Z ludźmi po ojcowsku, ale surowo się obchodzi. dzieci tak chowa, że je uczy sam, a razem w pole do robót pedzi i bosy puszcza na pole... Dzika fantazya —

mości panie — dodał sędzia, a szczęście to, że błot i lasy oddzielają Hrudzie od świata i może sam sobie pozwalać jako chce, bohy gdzieindziej tego nie doka-zał. Z nikim prawie nie żyje, oprócz budników Ma-
zurów, których ma po lasach. u tych bywa, zaprasza-
ich i mówią, że dobre zaprowadził u nich obyczaje.
Jednem słowem—ćwieka ma w głowie.

— Wiedząc o nim tu w Samoborach? zapytał
kapitan.

— Ja sędzę. chociaż przed Zdziśiem inaczej to od-
malowano i o ile możliwości zakryto, a oszczędzając
hrabinę sędzę, że i jej połowy nigdy tego co jest nie
odkrył. Od dawna go tu poczytują i mają za wa-
ryata... a familia się tłómaczy, iż tylko przez wzgląd
na związki krwi, oszczędza go nie chcąc sadzić do
Bonifratrów. Tu wprost z politowaniem mówią
o nim...

— A burza jak dzisiejsza wśród festynu nadciąga!
westchnął Porowski...

— Nie pierwszy to przykład — dokończył sędzia...
i umilkł...

Przysłuchywali się muzyce. która chwilami gło-
sniej wybuchała drzwiami i oknami na park i ogród
milczący.. Z sali wymknęły się na galerję dwa cienie
i stanęły jakby chciały tylko świeżem odetchnąć po-
wietrzem Można je było z profilów postaci rozpo-
znąć. Był to Zdziś i słiczna owa laleczka Elisa... Ona
stanęła nieco we drzwiach oparłszy się o drzwi, on
schylił się ku niej czy patrząc w oczy, czy słuchając
ust szmeru...

Porowski i sędzia przypatrywali się z dala czu-
łej parce tych dzieci. odgadując ich uczucia i usmie-

chając się ze sceptycyzmem siwizny widokowi porannej miłości...

Rozmowa trwała tylko chwileczkę. bo Mangoldówna zwróciła się szybko rzucając w wir taneczny, a Zdzis za nią pogonił...

Starzy także podnieśli się z ławki i zbliżyli ku pałacowi, przed którym na gazonie mnóstwo poważniejszych gości zabawiało się rozmową...

W tej chwili właśnie księżyc zaczynał się z za drzew podnosić, a w parku zwijali się ludzie po cichu. przygotowując iluminację, która główne ulice różnobarwnymi lampami ożywić miała... Słysząc było wesołe głosy do koła, śmiechy i podśpiewywanie, całe towarzystwo było w tem usposobieniu szczęśliwem. które pozwala o wczorajszej trosce i o jutrzejszej trwodze zapomnieć.

Nawet na twarzy Żabickiego trochę było jaśniej i ogólna ta wesołości atmosfera oddziaływała na dzika.. Stał przy drzwiach przypatrując się tanczącym. gdy z mazura ochoczego wyrwawszy się Stasia Porowska przybiegła doń podając mu rękę.

— A to co? zapytał.

Wybieram pana... śmiejąc się zawołała dziewczyna.

— Do czego?

— A! do mazura! jesteś pan uiežnośny.

— Chciałażbyś pani spróbować jak się tancuje z niedźwiedziem?

— Chodź pan! musisz — odparło uparte dziewczę ..

— Śmiać się będą!

— Niech się śmieją...

Żabicki porwany sam nie wiedział już jak się znalazł wśród ogromnego koła, którego wszystkie oczy nań były zwrócone. To mu dało odwagi zamiast go onieśmielić. Puścił się z rubaszością i werwą młodzieńczą, tak różną od wyszukanego wdzięku panniczów, tak ochoczo i zamaszysto, że mu ledwie nie przykłaśnięto... Wesoła Stasia nie chciała go puścić tak prędko, szczęśliwa była, że tego cudu dokazać się jej udało... Gdy wreszcie zarumieniony i upojony usunął się młody profesor do okna. Stasia przyszła mu podziękować

— Dziękuję panu — rzekła dygając, — chociaż do prawdy panbyś raczej powinien mnie podziękować — boś wyszedł z tryumfem.

— Upprzedziłaś mnie pani z niewłaściwem podziękowaniem, odparł Żabicki, boć ja przecie poczuwałem się do obowiązku.... Dałaś mi pani błyskawiczną chwilkę szału!...

Skłonił się.

— Dla czegożbyś pan, będąc młodym, nie miał do niej prawa jak inni? spytała Stasia .. Czy pan już chorujesz na czarną melancholię poety, czy na wyżycie przedwczesne... czy na mizantropię?

— Bynajmniej — odparł Żabicki, ale nie umiem się bawić w towarzystwie. do którego się nie czuję stworzonym.

— A mnie, przyznam się panu, zupełnie jedno jakie towarzystwo mnie otacza. byle wesołe było i trochę przyzwoite. Równie się dobrze bawię na dożynkach... Dla czegożbym nie miała być wesołą w salonie? Pan jesteś nudziarz — dodała Stasia — patrz jaki pan Zdzisław szczęśliwy. jaki piękny... jak mu do twarzy przy
Niebieskie Migdały. T. I.

tej tancerce. gdyby z parawana, czy z konsolki zdjętej. A! jaka ładna ta Mangoldówna!

— Czy nie widzisz pani. że chodzi i patrzy jakby senna?

— A! bo się jeszcze nie przebudziła, rozśmiała się Stasia...

Wśród tej rozmowy zbliżył się Zdzisław, na chwilę oderwany od swej tancerki, do Stasi. Dziewczę się zarumieniło...

— Popelniasz pan zdradę! rzekła śmiejąc się - rzucaś śliczną Else dla takiego jak ja kopciuszka.

Poszła z nim jednak przebiec po salonie, wesoła, szczęśliwa—a że Elsa znikła z Helą i Zdzisław powrócić do niej nie mógł, zatrzymał się przy Stasi, której wesołe szczebiotanie go bawiło.

— Cóżes pani za cudu dokazała z Żabickim! — zawołał—trzeba było chyba jej potęgi. aby go wprawić w ten chwilowy szal i zapomnienie...

— Potęgi? jakto? pan świeżo z pod potęgi wdzięków Elsy zaledwie wyswobodzony, śmiesz do mnie ten wyraz stosować? A to świętokradztwo...

— Czyż pani sądzisz?... począł Zdziś.

— Ale ja nie, wszyscy ile nas tu jest sądzimy. żeś pan w baronównie śmiertelnie zakochany...

Zdziś się zarumienił...

— A! to dziecko! mruknął cicho...

Stasia tylko co mu nie odpowiedziała: — A pan? ale uśmieżkiem pokryła wielką ochotę wyrwania się z tym ncinkiem...

— Bardzo ładna! śliczna! cudna! zaczęła patrząc mu w oczy...

Zdziś milczał

— My wszystkie przy niej wydajemy się jak chłopki—szczebiotała...

A potem troszkę złośliwie szepnęła:

— Nigdy jej nie słyszała mówiącej — jakżeby była ciekawa podsłuchać państwa rozmowę!...

— Rozmowę! ale... doprawdy — rzekł Zdzis. ja nie wiem czyśmy rozmawiali...

— Jakto? pan mówiles, ona panu odpowiadała wzrokiem przynajmniej...

— Nawet i tem pochwalić się nie mogę, westchnął Zdzis i zamknął jakoś smutno...

— Za to ja pana znudzę moją papłaniną.. ciągnęła dalej Stasia—nie prawdaż?

— Nie—nie—mów pani... głos jej brzmi mi jak muzyka... rad jestem z kims podzielić myśli...

— Skarż się pan na nieczułą, a ja powiernicą waszą będę i podzielę męczarnie wasze! mówiła patetycznie. Wprawdzie prawidłowo pan powinnieliście mieć powiernika i pocieszyciela rodzaju męskiego — ale niech to będzie oryginalnym wyjątkiem...

Zdzisiowi słuchając rozjaśniała się twarz... Stasia go bawiła. Spojrzeli sobie w oczy, wydała mu się bardzo ładną nawet po Elsie... dziwna rzecz... Stasi Zdzisław zawsze się takim wydawał. Trochę zapominał o tem, że Elsy nie było w salonie... Stasia mu rozpromieniała horyzont... odeszli kilka kroków ku drzwiom...

— Czarodziejski wasz park w Samoborach! zawołało dziewczę na widok lamp, które zapalały się właśnie obrzeżające ulice i rozjaśniając głębie drzew. Jakże tu ślicznie... jak w raju! Wy powinniście być szczęśliwi, bohy tu ze smutkiem nie było do twarzy...

— A ja właśnie Samobory kochane rzucic muszę wkrótce—rzekł Zdziś z westchnieniem.

— Bez żalu? spytała Stasia.

— Z żalem, lecz—muszę, mówił Zdzisław... Chciałbym już tę obowiązkową pielgrzymkę odbyć i być z powrotem...

— A ona—długo zabawi? smutniej zapytała Stasia.

— Rok—dwa—trzy!

— A! mój Boże — aż tak niezmiernie długo! Trzy lata to trzy wieki. Wyobrażam sobie jak pan powrócisz zmieniony.

— I jak tu może zmienionem wszystko zastanę rzekł Zdziś.

— Pewnie, Elsa wyrośnie i będzie jeszcze ładniejsza...

— A pani pójdiesz za mąż?

— Ja? rozśmiała się Stasia—ja— za mąż! Ale najprzód któżby się z takim trzpiotem jak ja chciał ożenić, a w dodatku z ubogą córką pana kapitana z pod słomianej strzechy? Ja znówu mam ogromne pretensye i za lada kogo nie pójdę! O! nie! mam swoje ideały! Za mąż mi nie spieszo wcale... Znajdziesz mnie hrabio... troszkę starszą. poważniejszą może... a! niech pan Bóg broni! Nie — nie — oburącz będę się trzymała... mojej wesołości dzieciunej!

Muszę nawet być wesołą dla ojca, bo któżby go rozchmurzał i rozrywał, gdybym ja nie miała zawsze w pogotowiu uśmiechu! Dla ojca też nie spieszo mi wcale z Wólki w świat lecieć—samego zostawić... O! nie! Tylko gdy hrabia ztąd wyjedziesz, Samobory posmutnieją... Stary profesor, którego nie lubię...

— Jakto. pani nie lubisz Wilemskiego? podchwycił Zdzisł.

— A! czyżem to powiedziała? uderzając się paluszkami po ustach, zawołała Stasia—a! no—to już się nie zaprę. Jak można nosić perukę?... to jest kłamstwo!

Zdzisław się rozsmiał.

— Tylko to mu pani masz do zarzucenia?

— Ale to okropna zbrodnia. ruda peruczka! to występek nie do darowania... mówiła Stasia.

Zbyt długo jakoś trwała ta rozmowa Zdzisia, i hrabina widać życzyła ją przerwać. troskliwie bowiem zawsze czuwała nad synem. gdy się do panienek zbliżał, ażeby nie dać mu czasu bliższych. sponfałszych zawiązywać stosunków... Kołowała bardzo zręcznie, zatrzymując się przy różnych grupach, aż wreszcie z uśmiechem łagodnym zbliżyła się do Stasi.

— Moje drogie dziecko... mnsiałaś się zmęczyć w mazurze, a stoisz we drzwiach otwartych... żeby ci nie zaszkodziło!

Rumieniec wypłynął na twarzączkę Stasi. schyliła się chcąc hrabinę pocałować w rękę i prędko podchwyciła.

— A! dziś mi nic w świecie zaszkodzić nie powinno...

— Jakaś ty dobra. że tak nasze szczęście podzielasz—droga Stasin...

W ciągu tych kilku słów, niezmiernie domyśluy profesor. który zrozumiał, iż hrabina zapewne chciała tę parę rozdzielić. aby oczka pięknej Stasi nie wlały niebezpiecznej trncizny w młode serce... podchwycił, ze zwykłą sobie trafnością Zdzisia i pod jakimś pozorem odprowadził go na stronę.

W istocie nie obawiano się oczek łagodnej Elsy, najprzód dla tego, że w najgorszym razie baron miał klucz, który serca zwykł otwierać—powtóre, że dziewczę było raczej dziecięciem jeszcze,—a lękano się niezmiernie wesołej, śmiałej i za trochę zalotną uchodzącej Stasi. Hrabina lubiła ją bardzo, ale syna nieznacznie strarała się odsuwać od niej i jak najpilniejszą bacność zwracała na Wólkę. Nie chcąc tego dać poznać, musiała zapraszać kapitana, była jak najczulsza z jego córką—a jednak spowiadała się z trwogi swej przed panną Różą.

— Moja droga Paklesiu — mówiła tego samego rana — musiałam Porowskiego ze Stasią zaprosić, bo inaczej nie wypadało, ale jak mi to ten trzpiot wleci... to znowu mego Zdzisia będzie bałamucila! Nic łatwiejszego niż takiemu młodemu chłopczykowi głowę zakręcić — przyznam się, że dla samego Wólki sąsiedztwa radabym, aby wyjechał. Może dziewczynina za mąż pójdzie... Trochę jest zalotna... bardzo na Zdzisia spogląda. — I westchnęła hrabina, a panna Róża się śmiała.

— A! to trwoga próżna! Zdzisław się bawi może szczebiotaniem jej, ale mu ona nie w głowie. Czyż hrabina dobrodziejka nie widzi, że on szalenie się kocha w tem dziecku Mangoldównie?... Ale to zwykła miłość idealna... której prędko zapomni...

— I tej się ja nie boję — to dziecko — mówiła hrabina—strzegą jej tam... nieśmiała, nierozwinięta jeszcze... a Stasia...

— Ale gdzieżby to jej i jemu mogło przyjść do głowy!...

— Moja droga— odparła hrabina—strzeżonego Pan Bóg strzeże. Ładna bardzo. miła, urocza, śmiała niewypowiedzianie, trochę zalotna... ja się jej niewymownie boję...

— Ale proszę pani!—ruszając ramionami dokończyła powiernica — już przynajmniej z tego sobie kuć troski nie trzeba.

Właśnie ta chwila rozmowy usprawiedliwiła nieco obawy hrabiny, i profesor zyskał nowe prawo do wdzięczności, odwodząc na bok Zdzisia, który oczyma zwrócił się jeszcze do Stasi. Wejrzenia ich się spotkały i uśmiechnęły sobie... Matka to spostrzegła i serce jej uderzyło...

Szczęściem muzyka zaczynała grać znowu, a baronównę wprowadzała panna Hela. Zamówił ją był Zdzis i podbiegł ku niej co żywiej...

Dziewczę całe zajęte sobą, ledwie go spostrzegło. Stasia chciała znowu opanować Żabickiego. ale ten się skrył tak daleko, że go wyszukać nie mogła. Miała do wyboru cały szereg tancerzy ubiegających się o jej piękną rączkę...

Salon powoli się wypróżniał. Śliczna noc po burzy i oświecony park wywabiała gości na świeże powietrze. Pozostały tylko tańczące pary, hrabina czuwająca nad synem, baron zdala przypatrujący się córce i kilka matek na straży swych dzieci.

Sama grzeczność nakazywała hrabinie Julii przybliżyć się do barona Mangolda, z którym mało kto mógł oprócz prezesa. Mangold bowiem pół słowami odpowiadał i nie rad się mieszał w towarzystwo. które za godne swego majestatu nie uznawał.

— Jest to dzień radosny razem i pełen smutku dla mnie—szepnęła hrabina Julia. — Mój syn będzie musiał wyjechać, zostanę sama...

— A tak do uniwersytetu! naturalnie—odchrzäkując rzekł baron—radziłbym wiedeński... Obeznanie się ze światem... przetarcie... tak — to bardzo potrzebne... My także... to jest ja z córką wyjedziemy pewnie.

— Dokąd?

— Do Włoch... Na wsi niepodobna dokończyć wychowania panienki do wyższego towarzystwa przeznaczonej.

— Na długo? — po cichu zapytała hrabina.

— Oznaczyć trudno...

W tej chwili wszyscy podbiegli ku oknom... W głębi parku puszczano fajerwerk... tancerze nawet parami pobiegli, a Zdzis miał czas szepnąć do ucha Elsy w zamieszaniu tem, niepostrzeżony:

— Pani! nie zapomnisz o mnie! ja ten pączek na sercu nosić będę...

Elsa spojrzała oczami zdziwionemi nieco.

— A! nie zapomnę...

Promień jej oczu nic nie mówił...

Zdzis rękę jej ścisnął. Uśmiechała się...

— A! jakie to ładne! — zawołała patrząc na ulatujące w powietrze złote i rubinowe kule, zielone i sine gwiazdy — a! jakie to śliczne...

— Pani! nie zapomnisz o mnie! — powtórzył Zdzis...

— I o tym prześlicznym fajerwerkul—dodała w uniesieniu Elsa..

Zdaje się, że bukiet, ostatni więcej ją zajmował, niż Zdzis i jego gorące słowa... Mimowolnie porów-

nał ją w duszy do Stasi... Dla czegoż ta twarzyczka chłodna. z pożyczanym uśmiechem i te oczy ze wzrokiem bez wyrazu. obrazkiem się wypiętnowały mu na duszy...? Tamtej głos brzmiał mu w uszach. tej twarzyczka stała przed oczyma...

I znówu pary stanęły do tańca. a muzyka na chwilę przerwana. brzmiała weselem...

* * *

Chmurny ranek powoli rozświecał niebiosą... księżyc bledniejąc spuszczał się nad lasy, nad bagnami i polami i w nizinach stały opary z wczorajszej burzy... na wsiach budzili się ludzie i piałły koguty zwołując do pracy — w pałacu brzmiała jeszcze muzyka i ostatni mazur dogorywał. Hrabina znużona nieco siedziała w krześle zamyślona, a panna Róża napróżno starała się ją namówić do spoczynku, chciała doczekać odjazdu dwóch niebezpiecznych istot, które na spokój serca biednego Zdzisia czychały. Stasia pogubiwszy dużo bławatków, jeszcze przelatywała salę nieznużona. ożywiona więcej może, niż z wieczora.. Elsa także nie dała się ojcu wyrwać i wywieść choć kilka razy Hela i on starali się ją wprowadzić.. Oczka jej tak chłodno a ostro patrzyła, jak gdy pierwszy raz wchodziła na salę — utrzymywała. że nie była wcale zmęczona i lecinchno motylem unosiła się nad posadzką. Wielu starszych po

cichu nocą opuściło Sambory, kapitan tylko siedział dla córki. Przybiegała ona ku niemu często ofiarując się jechać już dla niego ale ojciec zgadywał jakby ją wielce kosztowała ta ofiara, i zaręczał, że go to bawi—że mu się spać wcale nie chce. Za każdym razem Stasia całowała go w czoło i biegła stanąć do tańca, czując, że może nie prędko znówu taką noc upojenia mieć będzie. W okna zaglądał dzień biały, muzyka choć pojouna, grała coraz słabiej... Baron Mangold po mazurze zarzucił sam szal na ramiona córki i rzekł poważnie:

— Jedziemy!

Panna Hela otuliła ją jeszcze, konie dawno stały n ganku. Zdziś postrzegł wymykających się i za El-są pospieszył. Jeszcze raz z uśmieżkiem odwróciła się ku niemu, podał jej rękę do powozu, baron pożegnał go ceremonialnie, — i piękny ten dzień należał już do wspomnień przeszłości. Pączek różany leżał tylko na sercu młodzieńca. Ze spuszczoną głową powrócił Zdziś do sali, tu zastawiono śniadanie, a znuzona Stasia siedziała w krześle jakos nagle po wielkiem wyczerpaniu sił smutna i zadumana... Reszta pań zasiadała do stołu, śmiano się zapijając kawę i herbatę,—panna Róża gospodarowała czynnie, młodzi panicze dworowali koło niej wesoło... Hrabina rozmawiała z syuem, trzymając go przy sobie...

Teraz już kapitan sam poszedł po córkę osamotnioną i siedzącą w kąciuku, aby ją zabrać do domu...

— Stasiu, rzekł — czas nam...

— Troszeczkę ostygnę — odezwala się cichym głosem.

— Zmęczona jesteś bardzo!

— Nie, alem była tak wesoła, tak wesoła, że mi się teraz chce płakać...

Kapitan ruszył ramionami.

— Wymknijmy się niepostrzeżeni... powóz czeka... lękam się, aby ci to nie zaszkodziło.

Dziewczę ruszyło ramionami. patrząc mu w oczy.

— Ale. tatku. ja mam swoją żołnierską naturę... jutro znaku nie będzie... tylko, ot. tak, nie wiedzieć dlaczego smutek padł mi na duszę... Kiedyż się tu już drugi raz tak wesoło zabawimy?

— Dziwne pytanie! może nigdy. rzekł kapitan. — Wierz mi—jedźmy, póki nas nikt nie widzi i nikt nie żegna. Ja to wolę.

Rada nie rada Stasia podała rękę ojcu, który przez najbliższe drzwi ją wyprowadził. Był pewien. że ich nikt nie postrzeże. Zdziś, który stał przy matce, widocznie usiłującej go zagadać — postrzegł wymykającą mu się Stasię i wybiegł za kapitanem.

Posłyszawszy kroki za sobą. dziewczę zarumieniło się, twarzyczka jej trochę się rozjaśniła, odwróciła się i spostrzegła Zdzisia...

— Uciekacie państwo?..

— Od dawna czas... odparł kapitan: aż wstyd, żeśmy się do białego dnia zapomnieli...

— Noc ta. dzięki państwu, ubiegła jak jedna chwila — odezwał się Zdzisław — wspomnienie tylko po niej zostanie na zawsze... Jakże im wdzięczni jesteśmy!...

— Chyba odwrotnie my wam za nią dziękować powinniśmy, rzekł kapitan... Co za wspaniałe, miłe i świetne przyjęcie!..

— Widzisz hrabio. jam tak zabójczo skakała. ze teraz ledwie chodzę, i wszystką wesołość. zapas całoroczny, wyszafowałam przez te godzin kilka!... Jestem już senna, a w marzeniu jeszcze śni się i przedłuża mazur ostatni... będzie mi brzmiał w uszach długo...

Zdziś się kłaniał tylko. przy ojcu nie śmiał się z odpowiedzią. którą miał na ustach, odzywać.

Stasia mówiła z nim wymownemi oczyma... żegnając go z jakimś smutkiem. któremu się obronić nie mogła...

Konie już stały... jeszcze chwilka, a otulona chustką główka Stasi, która mu skinęła jeszcze z powozu, znikła...

Hrabina teraz się już pozwoliła odprowadzić do łóżka. a panna Róża wszystko porzuciwszy, pobiegła ją sama rozebrać, ukłaść, zapuściła firanki. pocałowała w nogi i po cichu się wynknęła...

Dla panny Paklewskiej noc ta. pełna trosk, bo wszystko było na jej głowie i pod jej kluczami, mimo ogromnego znużenia, obfita była w wypadki. które na los jej przyszły wpłynąć miały. Faworyta hrabiny chodziła zamysłona niezmiernie. i mniej niż kiedykolwiek przytomna. Odpowiadała nawet zapytującej ją służbie często zupełnie niewłaściwie.

Niktby był nie odgadł co się stało, bo mało kto uważał na przesuwającą się pannę Różę i na czatującego na nią profesora w peruce; nikomu na myśl nie przyszło. żeby miał z zamieszania korzystając. dawno po głowie chodzące myśli. pod naciskiem kilku kieliszków wina doprowadzić do skutku.

Profesor wiedział, a raczej domyślał się, że panna Róża w ciągu długich lat pobytu w Samoborach nie musiała o sobie zapominać. Była jeszcze dosyć świeża i przystojna... Profesor i ona mogli stanowić parę całę dobraną, i w innej okolicy uchodzić za małżeństwo, co się przed kilkunastu laty pobrało w kwiecie wieku.

Długo z zuchwałą tą myślą nosił się profesor... dzień ten nareszcie losy jego rozwiązał. Trzy razy spotykał się po kilka minut z panną Różą, i rozłożywszy oświadczenie się na trzy akta, w trzecim prosił o jej rękę. Panna Paklewska spojrzała mu w oczy, zarumienila się mocno, i nie dając stanowczej odpowiedzi, oświadczyła mu, że się tylko nieco namysleć musi. Profesor był pewien, że zostanie przyjęty — zmiana stanu chodziła mu teraz po łysej głowie jakos przerażająco. Pod wpływem wina, muzyki, młodych szalów, co go otaczały, czuł, że się wyrwał niezmiernie śmiało... ale... nie można się już było zawracać. Pocieszało go to, że panna Róża, wedle jego obraunku, musiała mieć najmniej sto tysięcy złotych — co sam na swe oczy widział — przepyszną, długimi latami zbieraną wyprawę.

Nad ranem więc (spać się profesorowi nie chciało wcale) wrócił do swego pokoju, przeciągnął się, zrzucił frak, i siadłszy na łóżku dumiał.

Głowa, z której zdjął peruczkę, pokryta szlafmycą wątpliwej białości, w zwierciadélku, które stało naprzeciw, wydała mu się samemu wcale dla nowożeńca niewłaściwa... Był blady... mizerniejszy niż kiedy... a rumieńce dawniejsze w postaci sinych plam tylko pozostały.

— Co się stało. odstać się nie może — rzekł w duchu — obawiam się jednak, czy się głupstwo nie stało...

Westchnął...

— Hrabina ją jak dziecko własne kocha, mnie lubi... już nie może być, aby nas wyposażyć nie chciała na nowe gospodarstwo...

Obok w drugim pokoju, w którym mieszkał Żabicki, gorzej jeszcze bo gospodarza w domu nie było. Pod wrażeniem tej nocy, w której ciągle około Stasi się kręcił i rozmarzył. Żabicki poszedł w pole się wytrzeźwiać...

Ciekawy sąsiad zajrzał do jego izdebki i nieznałszy go, głową pokiwał.

— Z tym może gorzej niż ze mną! rzekł w duchu... gdzieś zginął...

W tejże chwili Zdziś powracał także do swego mieszkania pół senny, pół rozmarzony, i z religijnem uszanowaniem ncałowawszy pączek róży, złożył go w nymyślnie opróżnionem pudełeczku...

Przed sennemi jego oczyma zwijały się, mijając jak w tańcu, Elsa i Stasia. W pokoju pełno było podarków otrzymanych dnia tego... pozakładane niemi stoliki, pozarzucane kanapki, a wszystko tak śliczne...

Zdziś począł zrzucać z siebie suknie, słońce wschodziło, ale sen kleił mu powieki... Służący zapnęli story głowa legła na poduszkach, usnął. Ale nymysł i wyobraźnia rozkołysana usnąć nie mogły. Obrazy dnia i nocy przeszłej smły się dalej, pomieszczone z sobą jak w kalejdoskopie... Sala balowa, księżyc z sufitu... park z tańczącymi pod drzewy sylfida

•

mi. z którymi razem wzięwszy się za ręce Zdzis leciał w powietrze otoczony fajerwerkiem kul i gwiazd ognistych... Potem były pioruny na wiwat u stołu. Zdzis we śnie klęczał u nóg Elsy. która go przebijała czarnymi oczkami, a gdy ku niej podniósł wzrok. znajdował w jej miejscu śmiejącą się Stasię... I szli z Żabickim razem po chmurach daleko, rozmawiając o nieśmiertelności duszy. a w końcu przechadzki znajdowali się z prezesem i Mangoldem za stołem...

Najniedorzeczniej płatało się to wszystko, a we śnie zdawało tak naturalnem, tak koniecznem iż Zdzis niczemu się nie dziwił... Matka błogosławiła mu do ślubu idącemu wśród dwóch narzeczonych, które na siebie gniewnemi ciskały oczyma... Zdzis czuł się szczęśliwym. ale myślał jak życie między nie podzieli. Miał się o to radzić Żabickiego, gdy ten na koniu galopując, umknął przed nim w lasy. Stary profesor w peruce zapewniał go, że wszystko się jak najlepiej ułoży. I znowu rozpoczynały się tańce weselne... w sali tak długiej, że nie widać było końca jej, tańcem szli po wschodach wysoko aż ku wschodzącemu słońcu... Cztery siwe konie darowane przez matkę, czekały tu na Zdzisia... Dwie panie siadły do powozu, on chwycił lejce, ale kapelusz został gdzieś na dole. stoczył się po wschodach w jezioro... Za nim biegnąc Zdzis wpadł w bagno i burza ryczała nad nim...

Gwałtownym ruchem usiłując się dobyć z niego. obudził się i sen uleciał mu z powiek... Ze snem podlatywały marzenia...

Na jawie począł układać przyszłość... Jechał do uniwersytetu... Berlin naówczas był w modzie..

Czekało go tam nieochybnie świetne przyjęcie. Postanawiał dom dla młodzieży trzymać otwarty. I nie-go mieli się schodzić i dysputować o Hegla..

Urządzał nawet dom jak miał wyglądać. Mieszkanie powinno było koniecznie mieć balkon choć jeden... obwieszony dzikiem winem. Sala duża, stół na dzienniki, cygara i herbatę... obok takż pokój jadalny... w sypialni mała zbrojownia. Dwóch służących miało na wszystko wystarczać... Kamerdyner w czarnym fraku i groom w liberyi. Para koni i jeden wierzchowy były koniecznością, ale nie więcej — powozik lekki jeden... Postanawiał być bardzo oszczędnym, lecz dla imienia i honoru narodu, do którego należał, musiał przyzwolicie występować...

Któż wie? w Berlinie mogły być bardzo piękne twarzyczki, Syreny niebezpieczne. matka coś o tem kilka razy napomykała. Zdziś uroczyscie sobie zaprzysięgał i pączkowi róży, iż się nie sprzeniewierzy. nie spojrzy, nie da zbałamucić, choćby najśliczniejszej---księżniczce...

W teatrze musiał bywać czasem. na sztukach klasycznych, gdyby grywano Schillera i Goethego,— ale nie więcej nad raz w tydzień.. naturalnie we *Fremden-Loge*. Obiecywał sobie nader gorliwie uczęszczać na lekcyę i nie opuścić żadnej. Jak najlepsze chciał dobrać towarzystwo, młodzież dystygowaną...

W czasie wakacyj podróż pieszą do Szwajcaryi z małą do Włoch wycieczką... z jednym jakim dobrym, miłym towarzyszem... wśród najśliczniejszej pogody, po ścieżkach piaskiem wysypanych... Nie chciał się zapuszczać daleko... Na parę dni należało matkę od-

wiedzieć... jeśli by ona nie przyjechała do syna, co uroczyście obiecywała. W parę lat spodziewał się skończyć kursa i zasiąść do doktoryzacyi. Doktora stopień był mu koniecznie potrzebny, brzmiałoby to przy tytule brabiowskim prześlicznie. Egzamin musiał pójść świetnie; rozprawa łacińska... a! nie było z nią najmniejszej trudności. Wcześniej już miał temat nagotowany o Scytach Herodota... Zajmowała go mocno ta księga, czytał o niej kilka komentarzów, łączyło się to jakoś z historią Słowian...

Zdziś w czasie drugich wakacyj obiecywał sobie być w Odessie i zwiedzić stare Scytów sadyby... To mogło nadać wyborny koloryt rozprawie...

Obrząd uroczysty—toga, biret—i ogromny pargaminowy dyplom... Potem wspaniała uczta dla profesorów i towarzyszków. Na ten bankiet obiecywał sobie wystąpić tak, aby Berlin o nim mówił lata, aby jego wspomnienie pozostało między młodzieżą w tradycjach uniwersytetu...

— Spoję ich wszystkich, szampan się musi lać strumieniem... muzyka będzie grała przez całą ucztę... po obiedzie poncz monstre! Akademickie pieśni i do białego dnia myśl wesoła... a niektórzy koniecznie upojeni aż do snu...

Naturalnie wyjeżdżającego przeprowadzą mnie do pierwszej stacyi profesorowie i współtowarzysze... rozstanie czule... mowy, pożegnanie... Z dyplomem powracam do Samoborów. które mi matka oddaje.... Nazajutrz jadę do Mangoldów... Piękna Elsa wychodzi piękniejszą jeszcze... pokazuję jej ukradkiem ów pączek różany... Uśmiecha się, wzdycha.. bawię do wieczoru. Wychodzimy na balkon... Noc księżycowa

cudowna... woń kwiatów w powietrzu i jej technienie czuję... schyla główkę na ramię moje... pierwszy pocałunek! Chwila rajska... klękam. Nazajutrz z mamą jedziemy do Mangoldów... oświadczam się.. Baron podaje mi rękę... Ślub naznaczony za dwa miesiące...

Lecz cóż powie Stasia?...

Zamyslił się mocno i twarzyczka Stasi stanęła mu przed oczyma.

— Żal mi tej dobrej, wesołej, ślicznej i miłej Stasi. ona troszeczkę mnie kocha także, ja ją... nie wiem był czas... Nim Mangoldówna powróciła ze Lwowa. ale my byliśmy dziećmi, ona to dobrze rozumie. Nigdy jej nic nie przyrzekałem. Znajdę jej męża.. będą niedaleko mieszkali od nas i czasem przyjeżdżali do nas. Elsa nie może być zazdrosną, będą z sobą w dobrej przyjaźni... będziemy się widywali, rozmawiali, śmieli często... bo nie żądam od losu nadzwyczajnych rzeczy... nic nad to... co on mi sam obiecał i dotrzyma...

Mama będzie szczęśliwa..

Urządzą Samobory jeszcze wspanialej niż są. Obrazów trochę i posągów parę ładnych nam braknie. to sam we Włoszech kupię, pojechawszy z Elsą zaraz po ślubie. Zwiedzimy Wenecję, Florencję, Rzym. Neapol, może Sycylię... wracać musimy na Paryż. W Paryżu parę tygodni tylko, tyleż w Wiedniu i Berlinie. Elsa musi widzieć trochę świata... We Włoszech dla niej naszyjnik z kamei prawdziwych kupi koniecznie...

We dworze nie chciałbym nic zmieniać ani powiększać służby—będę oszczędny... Szesciu lokajów

wystarczy. kamerdyner, kredencierz... dla nas dwa cugi, mama będzie miała swój osobny. to się rozumie... Panna Róża niech gospodarzy, bo Elsa nie będzie miała czasu... Mangold nam zapewne odda dobra przyległe... Na zimę kilka miesięcy trzeba będzie wyjeżdżać... latem u siebie na wsi... Trochę muszę i gospodarstwa pilnować i konno jeździć... Dwa wierzchowce dosyć... Miałbym wielką ochotę trzymać konie wyścigowe... no — ale zobaczymy, jak interesa dozwolą.

Myśliwstwo małe, pięć swór gończych, kilka chartów. dwa, trzy wyżły i kilka jamników wystarczy.

Będziemy przyjmowali...

Tu się zamyślił głęboko. przedmiot był bardzo ważny, potrzebował obrachowania.

— Imieniny Elsy... z wielkim przepychem... moje skromniej. Mamy wspaniałe... Jeśli zimujemy w Samoborach, trzy dni zapustne, c'est de rigueur—wielkanoc ze święconem... czasem raz jakiś bal dla przerwania monotonii.

Stosunki z sąsiedztwem jak najlepsze... z ubogą szlachtą także... będę oddawał wizyty wszystkim... Mąż Stasi musi być moim przyjacielem i pomocnikiem radą. Chciałbym dla niej znaleźć takiego po myśli mojej człowieka...

Gdyby Żabicki miał cokolwiek oprócz nauki i fantazyi zostania doktorem... to bardzo dobry i przyjazny mi człowiek... ale na niego rachować niepodobna.

Mangold ma reumatyzmy i co rok musi jeździć do Karlsbadu, — jesliby uchwaj Boże, nas osierocił—

w istocie miałbym kłopotu trochę z tą rezydencją w Jezioranach, bo to ładne i miłe... ale nie umywało się do Samoborów... Dwa domy takie utrzymywać niepodobna... dać znowu spnśtoszeć nie godzi się — kiedyś się to przydać może. Z tem to prawdziwy być może fraszunek dla mnie. bo i Elsa będzie naturalnie chciała. żeby Jeziorany nie zostały zaniedbane.. Ale jakże dwa takie utrzymywać dwory, ludzi tylu... bez zajęcia! Nie! niech mi Elsa daruje, na to się zgodzić nie mogę... W żaden sposób! Muszę być oszczędnym.. wydatek ogromny. bezpotrzebny... Myślę, że w takim razie najlepiej będzie powoli i stopniowo Jeziorany opuszczać... nie zupełnie. Zachowam dom... są tam ładne rzeczy. Niektóre możnaby przewieźć do Samoborów... Obrazów kilka wezmę i miejsca na nie znajdę..

W sali jadalnej trzeba będzie koniecznie portretu mamy, a później i naszych dwa. Zamówię u Amerlinga. Elsa w białej koronkowej sukni... jak zjawisko nadpowietrzne... ja w czarnym surducie, płaszcz na ramieniu, kapelusz fantazyjny. w krajobrazie... Można by te portrety w czasie pobytu w Rzymie kazac wykonać... na tle Kampanii Rzymskiej...

Wszystko się to później ułoży... ale z Jezioranami troska największa... Elsa może być do miejsca przywiązana, ja od Samoborów nie mogę odstąpić — to rodowe guiazdo... to darmo!!

Z tą troską na piersi, wzdychając Zdziś powoli usnął znowu, a we śnie wystawił sobie, że jechali do Włoch... i szli do Kolosseum... Elsa wsparta była na jego ramieniu...

W tem szelest go przebndził... W przyciemnionym pokoju zobaczył na palcach wchodzącą matkę, która niespokojna o to, czy drogiemu jedynakowi nie zaszkodziła noc bezsennie przebyta, przychodziła zobaczyć czy spokojnie usypia...

To zjawienie się hrabiny, która już wypocząwszy pierwsza była ubrana... zawstydziło nieco Zdzisia... odezwał się do niej wesołym głosem i natychmiast przybiedz obiecał. Sny i marzenia przeciągnęły się do trzeciej po południu. miano już dawać do stołu, a po obiedzie prezes Mohyla do domu chciał odjechać.

Co najprędzej więc zadzwoniwszy na służbę, Zdzisław zaczął się ubierać. wesół jak ptaszek i podśpiewując jeszcze wczorajszego rażnego mazura.

Z towarzystwa wczorajszego jeden tylko prezes i zaproszony dla niego ksiądz kanonik pozostali... Mohyla wyglądał po wczorajszym dniu nieco blade i musiał się gdańską wódką do życia przywołać.. Mówiono przy stole tylko o nadzwyczaj świetnie i szczęśliwie a wesoło przebytej uroczystości. Panna Róża zapomniała, że co się nigdy nie zdarza, ani jednego talerza saskiego nie stłuczono, żadnego przypadku w gospodarstwie oplakiwać nie miała potrzeby. Profesor ręczył, iż tak dziwnie harmonijnego a ożywionego towarzystwa nigdy nie widział w życiu. choć bywał u Lubomirskich i Sanguszków przez lat kilka. Prezes Mohyla dowodził, iż cała okolica ten dzień zachowa w pamięci na wieki wieków. i wnuki o nim kiedyś będą jeszcze wspominały.

Hrabina rozczulona łzy miała na oczach, a za wszystko dziękowała pannie Róży, która się rumieni-

ła z radości. O burzy, która na chwilę w sposób tak nieprzyjemny przerwała zabawę, mowy już nawet nie było, choć w parku dwa dęby nosiły na korze przedartej piorunów ślady, a jeden słup ognisty widziano wpadający do stawu.

Nie zbywało na anegdotkach i na przygodach balowych, żartowano sobie z pochmurnego Żabickiego, że się dał wyciągnąć Stasi i tak raźnie z nią wyśkakiwał, a hrabina rada była, że może Stasią przesładować Żabickiego, aby od niej syna swego myśl nawet odciągnąć. Humor całego towarzystwa tak był wyborny, iż profesor po obiedzie postanowił skorzystać z niego i spróbować, azali los się jego nie rozstrzygnie. Nie chciał długo w niepewności zostawać... Panna Róża już zawczasu, przy obudzeniu hrabiny, siedząc podług zwyczaju na małym stołeczku u uóg jej—wyznała jej wszystko na pół żartem, pół seryo.

— Wie moja dobrodziejka — rzekła po cichu — co to mnie wczoraj spotkało? Wszak to... profesor Wileński mi się oświadczył.

— Różyczko moja... a cóż ja pocznę bez ciebie nie-szczęśliwa?...

Panna Paklewska zaczęła ją po nogach całować.

Ale ja nie rozporządzam sobą — ja mu nie odpowiedziałam nic... ja pani mej opuszczać nie chcę!

Zaczęły się narady. Dobra hrabina nie rada była stracić Róży, ale Róża nie miała domu i rodziny... musiała sobie przyszłość zapewnić. Profesor wydawał się takim zacnym, dobrym i zdolnym człowiekiem.

— Nie jest młody, nie piękny, to prawda. mówiła panna Róża, ale człek stateczny, poważny. a ja też nie dziecko... moja dobrodziejko...

Radziły tedy obie, radziły, i popłakawszy się, zgodziły się na to. że profesora przyjąć należy, ale że pani profesorowa musi zostać przy swej dobrodziejce. Wilemski mógł znaleźć odpowiednie zajęcie...

Gdy więc po obiedzie, korzystając z tego, że wszyscy czarną kawą byli zajęci. profesor przystąpił do panny i cichym głosem odezwał się: — Pani — racz o moim losie rozstrzygnąć.

Panna Róża podała mu rękę w milczeniu.

— Ale ja panie profesorze. rzekła, nie rozporządzam sobą, tyle wiuna jestem mojej dobrodziejce. hrabinie, iż ją jak matkę uważam... Udaj się pan do niej... mów z nią. Ja zezwalam.

Zmieszał się nieco profesor. widząc, że przez tę łaźnię przechodzić mu przyjdzie. lecz zrozumiał razem, że to się opłacić może. iż przybrana matka dziecku coś pewnie zaofiaruje... Skłonił się więc w pokorze...

— A kiedyż ślub?... zapytał...

— Zlituj się pan — przecież masz jechać z panem Zdzisławem. ja sądzę, że chyba za powrotem...

— Jak to tyle lat czekać? podchwycił rumieniąc się stary.

Panna Róża rozśmiała się.

— A no, rzekła, jakoś się to ułoży. ale z hrabią jechać musisz, a ja przy hrabinie pozostać...

Z nadziejami tedy słodkimi, ucałowawszy rączki dosyć ciemne panny Róży, profesor odszedł, aby

czyhać na godzinę właściwą i oświadczyć się hrabinie Julii.

Tegoż dnia przeprowadzany do powozu przez całe towarzystwo, obdarzony ananasami, koszami owoców, cukrów i ciast, prezes na pożegnanie rozplakawszy się, odjechał do domu. Następny poświęcony był odpoczynkowi i przyprowadzeniu do porządku tego co uroczystość powywracała na nic. Cały dzień odnoszono na miejsca sprzęty, oczyszczano dziedzińce i ogrody, ustawiano w pokojach, słudzy wydobywali niedopałone z kandelabrow świece, liczono straty... obrachowano wypite butelki, i panna Róża tak była zajęta, że dwa tylko razy dała rękę do pocałowania profesorowi.

Wieczorem, namysliwszy się i widząc hrabinę samą w ganku, profesor poszedł z oświadczeniem... W pół godziny potem powracał rumiany, rozpromieniony, i pospieszył do pokoju własnego panny Róży, oznajmując jej, iż mają zezwolenie hrabiny, błogosławieństwo i... obietnicę pomocy do nowego gospodarstwa. Całą godzinę spędzili sam na sam, układając przyszłość... Panna Róża dwa kieliszki starego wina naląła profesorowi, który i niem i wejrzeniem jej oczu upojony, wyszedł z taką fantazyą na korytarz, jakiej pono w życiu nie miał. On co nigdy nie nucił i nie śpiewał, począł cos takiego fałszywego pod nosem pisać, iż spotykający go stawali z podziwienia.

Mniej zapewne fantazyi było w marzeniach o niebieskich migdałach pana profesora i panny Róży, niż w sennych Zdzisia rojeniach, ale i oni już układali swą przyszłość, obliczali ją — ślali gniazdo i byli pewni szczęścia... Panna Róża obiecywała sobie być

dobrą i łagodną dla męża, ale jednakże całkowicie mu się nie poddawać. Wilemski sądził, że z taktem postępując choć energiczną panią z wolna zawojować potrafi.

— Nie nagle, mówił do siebie — powoli — nieznacznie... Kobieta się przywiąże do mnie... Wpadłem jej w oko... ma słabostkę, — głupibym był gdybym z tego nie korzystał...

W ostatnim razie, jeśli nam folwarku dożywo-
ciem nie dadzą, z taką gospodynią, o mój Boże! za-
kładał pensję dla chłopców... Dawny nauczyciel do-
mowy, który kierował wychowaniem Radziwiłłów,
Lubomirskich i hrabiego... znajdzie szlachty dosyć, co
mu dzieci powierzą!! Gdybym miał tylko dwudzie-
stu, a zarabiał tylko po tysiąc złotych—bardzo uniar-
kowanie — dwadzieścia tysięcy rocznie, w pięć lat
sto tysięcy w kieszeni... Dziesięć lat popracowawszy,
jest za co wioskę kupić... a to taka gospodyni. i zna
się na wszystkim. i oszczędna. kluczyków nie pusi
z rąk nigdy. a spiac chowa je pod poduszkę... Dom
będzie we wszystko opływał... a ja, jak pączek w ma-
śle... No — i kobiecina niczego... oczko ogniste...
figura dobra... i w główce wcale nieźle... a że niezbyt
młoda, tem ci lepiej, nie będę się gachów obawiał.

I zatarł ręce profesor, znajdując, że uczynił bar-
dzo dobrze oświadczając się pannie Róży.

Żabicki już się do drogi sposobił. Gdy do niego
profesor wszedł rozpromieniony i zastał go nad pako-
waniem książek... z twarzą osmutniałą, trochę mu się
go żal zrobiło.

— Czegoż się tak spieszysz? zapytał.

— A dla czego się mam odciągać? odparł Żabi-cki -- co nieodwołane, to lepiej rozpocząć dziś niż jutro...

— Nie słuchałeś bo mnie — odezwał się cicho Wilemski — gdybyś się był lepiej akkomodował, więcej okazywał powolności hrabinie, attencyi Zdzisławowi, byłbyś sobie ich łatwo pozyskał... któż wie. mógłbyś nam towarzyszyć do Berlina... a tak?...

— Pojadę sam i swobodny! dodał Żabicki: zyskuję na tem... Wierz mi, kochany profesorze, radbym się jednej godziny ztąd wyrwać: to jakaś sztuczna atmosfera, adulatorymi jak kadzidłem niezdrowem przesiąkła — dusi mnie...

Wilemski ruszył ramionami.

— Jak z czem komu lepiej — rzekł.. mnie asin-dziej powinszuj — dodał na ucho...

— Cóż się stało? jedziesz pan do Berlina? to wiem.

— Ale gdzie zaś! Los mój się rozstrzygnął szczę-sliwie...

— W jaki sposób? zapytał Żabicki.

— Żenię się! rzekł profesor... ale to jeszcze tajemnica.

Wielkimi oczyma spojrzawszy nań Żabicki, śmiać się począł. Żartujesz profesorze?

Obraził się Wilemski i wstał purpurowy.

— Wcale to nie są żarty: żenię się z osobą najgo-dniejszą, najmilszą, pełną przymiotów... jednym słowem z panną Różą...

Żabicki się skłonił

— A to bardzo winszuję.

Wilemski siadł uspokojony.

— A pan co myślisz z sobą?..

— Jadę się uczyć medycyny. rzekł Żabicki; pedagogika ciężkie rzemiosło — nauka nowa to kilka lat szczęścia... a potem, gdziekolwiek bądź w małym miasteczku praktyka pożyteczna. która da chleba kawałek.

— Nie późnoż to? zapytał profesor...

— Uczyć się — nigdy — odparł Żabicki; — wolę zresztą leczyć choroby ciała. niż moralną orthopedyą się trapić życie całe i odprostowywać dzieci, które matki i ojcowie krzywią... Będę swobodny! — zarobię na chleb uczciwie i całe życie nanki mam przed sobą, badania a studyów!! Tak mi się ta myśl uśmiecha, żeś zawczasu nią szczęśliwy... Mały dworeczek w miasteczku na prowincyi, dobre sąsiedztwo. swoboda. niezależność...

— I ożenisz się też pewnie? przerwał profesor.

— Nie wchodzi to jeszcze w mój program teraźniejszy — odezwał się Żabicki — ale się nie zarzekam ani przyrzekam...

— Gdyby naprzykład trafiała się taka czarująca Stasia? złośliwie pochwycił profesor — hę?

— Wszyscy mnie nią przesladujecie! zawołał Żabicki łamiąc ręce — nie przeczę, czarujące dziewczę, ale to kwiatek nie dla mnie... Chwilę z nią unieść się w tańcu i pomarzyć... rozkosznie jest; czy żyćby było równie wesoło, nie wiem. Zdaje mi się. że okiem i sercem mierzy gdzieindziej i wyżej daleko...

— E? e? zapytał profesor — gdzie? jak?

— Czyżes tak nieomyslny?

— Toby było szaleństwo! oburzył się Wilemski..

gdzież co podobnego na świecie się kiedy trafiło!... Dla naszego hrabiego księżniczki mało.

— Życzę mu choćby królewny — rozśmiał się Żabicki — byle on ją a ona jego kochała..

— O jego losy nie ma się co frasować — zamknął rozmowę Wilemski opatrzone one są... Należy do tych uprzywilejowanych. dla których gołębie w niebie aniołowie pieką!...

— Niebieskimi migdałami nadziewane... mruknął Żabicki i zaczął książki pakować.



*

*

Odkładany po kilkakroć dzień wyjazdu z Samoborów się zbliżył. Zdzisław był niezmiernie zajęty ułożeniem z matką planu nie tylko podróży, ale całego urzędzenia się w Berlinie.

Pół senne owo marzenie służyło mn za podstawę. Hrabina uszczęśliwiona niezmierną praktycznością syna. przystawała na wszystko i mówiła do panny Róży ze łzami:

— Żebyś ty wiedziała. moja najdroższa, jaką dla mnie Zdzis jest pociechą... co to za serce i roznm... jaka wytrwałość i takt! jak on wszystko zawczasem rozumnie, statecznie powiedzieć nmiał! Mówię ci. że gdyśmy zaczęli z nim radzić o jego przyszłym pobycie w Berlinie... doprawdy osłupiałam. jak ten chłopak

zrozumiał swe położenie. obowiązki, stosunki, wszystko... Słuchając go, dziękowałem Bogu, że mi dal takiego syna, i zalewałem się łzami. Anioł dobroci. a głowa! rozum zdumiewający!

Panna Róża całując w rączkę dobrodziejkę, szepiała z uśmiechem:

— A! proszę pani mojej! ileż to ja razy unosiłam się nad tem dawniej! albożmy to tego nie widzieli codziennie... Serce wziął od matki i rozum...

Hrabina ścisnęła pannę Różę, a ona padała do nóg hrabinie...

We dworze zajęcie było nadzwyczajne, wyprawa jedynaka w podróż taką długą. na którą wszystko a wszystko należało obmyślić! Co chwila przychodziła myśl jakas o czemś zapomnianem... przybiegła panna Róża dowodząc. że się jeszcze bez tego w żaden sposób obejść nie może. wsuwał się profesor przypominając coś. co mogłoby być wielce nżyteczne... Matka sama nieustannie notowała na kawałeczku papieru niezbędne zapasy... i chodziła oglądać to, co już było gotowe...

Zdzisław w swoich pokojach czynił rozumny wybór tego, co mu się zdawało koniecznie potrzebne, pakując kufrы poznaczane numerami.. A było ich już tyle, że dla całej amerykańskiej rodziny połowaby ich wystarczyła... Profesor zabierał także wiele rzeczy, bez których obejść się nie mógł, a raczej których zostawić się lękał, nawet pod opieką narzeczonej... Ślub przed wyjazdem okazał się niepodobieństwem dla pewnych formalności, które z obu stron dopełnione być musiały — odłożono go więc na jakieś ferye, w czasie których hrabia i profesor do Samoborów zjechać mie-

li. Przy zaręczynach otrzymał Wilemski w podarku od panny Róży kaftanik ciepły przepyszny, zadatek troskliwości jej o zdrowie przyszłego małżonka. Okrył go w jej oczach pocałunkami, co ją niemal do serdecznego pobudziło śmiechu.

Zdziś z profesorem mieli się udać z lekkimi bagażami przodem, za nimi służba, konie i tłómoki...

Biedna hrabina zawczasu chodząc po opustoszałym pałacu. płakała, licząc długie dni, które sama przepędzić będzie musiała. Gdy dzień na wyjazd naznaczony się zbliżył. wyprawiono najprzód Zdzisia dla pożegnania z prezesem Mohylą, potem uznano. że bliższych sąsiadów pożegnać także należało. Młody hrabia znajdował to koniecznem i utrzymywał. że najprzód do Jezioran do Mangoldow musiał jechać. Tu matka sama mu towarzyszyła...

Majątek pana barona o półtorej mili tylko był odległy... Majętność ta należała niegdyś do jednej z najznaczniejszych rodzin krajowych, do której ruiny koniec XVIII-go wieku i wielkie wstrząśnienia późniejsze znacznie się przyczyniły. W tym wirze spraw publicznych zapominało się o własnych, odkładało je na swobodniejsze czasy, a gdy zamiast nich nadeszły cięższe jeszcze, gdy sama rodzina doznała klęsk szczególnych. jedno potrącenie ręki losu w kupę obracało starożytnie gmachy. Tak się stało i z dawnymi posiadaczami Jezioran, którzy się przy ostatnim kluczu odnżonym trzymali tak długo. aż nędza niemal przekonała ich, że należało zejść z pałacu rujnującego się do ubogiego dworku...

Czemże są pałace same? Ale gdy do ich murów przylgną wspomnienia dziadów, rodziców, szczęść

i nieszczęść przeżytych, tych dziejów domowych, których Bóg jeden był świadkiem, łez wylanych, co wsiąkły w ziemię, gdy cmentarz zaludnił kości... gdy człowiek zwiąże się i poślubi z miejscem, a wrośnie w nie sercem, straszna to rzecz być wygnanym. i mało kto przeżyje to sieroctwo...

Śnią się naówczas opuszczone rumowiska, i wołałoby się siedzieć na nich żebrakiem, niż gdzieindziej panować.

Tak z Jezioran wyciągnęli ostatni dziedzice i niemal w progu pożegnali świat.. Majątek kupił człowiek obcy, przybyły z daleka, który w gotowe gniazdo ciepłe wsunął się jak gad w opuszczoną ślimaka skornię... Znać było pańską niegdyś rezydencję, nieładem i niedostatkiem zniszczoną. pieniędzmi gwałtownie i bez smaku odmłodzoną. Teraz znowu wszystko tu było bardzo wspaniałe, ale przeszłość z teraźniejszością niezupełnie się dobrze godziły. Stary dwór przerobiono na angielski Castle. dodano mu wjazdową chatkę, wspaniałe ogrodzenie żelazne a sady i ogrody zbite w jedno zmuszono park reprezentować. Dosadzone nmiejętnie, ale młodsze znaczenie drzewa, obiecywały kiedyś piękne formować grupy. Jeziorany nie miały wspaniałości Samoborów, lecz coś cudzoziemskiego dobrze naśladowanego przypominały.

Nowy dziedzic nie miał może własnego smaku, lecz tę przenikliwość, że wiedział gdzie go pożyczyc. Piękne więc na pierwszy rzut oka wyglądało tu wszystko. póki się kto pilniej nie wpatrzył i nie dostrzegł, że ta piękność klejona była i zszywana, a gdziekolwiek sam baron coś do niej własnego dodał,

tam łąta krzyczała pstrokacizną. Smak był tu dla tego, że on należał do rzeczy pańskich, ale sam dzie-dzie go nie potrzebował i nie rozumiał. znosił raczej jak inne wymagania tego nowego stanu.

Było więc wszystko tu co należy do dobrego to-nu i dowodzi zamożności: liberye, służba, przepych jaskrawy, w pałacu kosztowne sprzęty, a nawet dzie-ia sztuki, bez których się nie obchodzi prawdziwe państwo. Wielki przedpokój trochę z niemiecka zdo-biły rōgi zwierząt, składające rodzaj ornamentacyj, i kilka zbroi kupionych na tandecie, a powieszonych dla tego. iż one u innych się widziało. Tak samo w salonie para Achenbachów i kilka mniejszych obra-zów zakrywały ściany. Wszystko zresztą kosztowne było a nowe meble aksamitem okryte, portyery obfi-cie sznurami i frędzlami przybrane. stoły marinurowe... alabastrowe naczynia... ogromne zwierciadła... nie bra-ko albumów wspaniałych na stołach, przepysznego Bösendorfera... ani nic, co w pięknym salonie zwykło się znajdować; lecz był to salon wielkiego hotelu. któ-ry tapicer smakownie przystroił. nie odbijał się w nim właściciel ani jego charakter. Na ten sposób cały dom był przyozdobiony, ogród i Jeziorany w ogóle. Dobrze zapłaceni artyści, według przyzwoitych wzo-rów, stworzyli tę rezydencyę, której fizyonomia nie mówiła nic, bo w nią nikt nie wlał ducha...

Przybycie hrabiny z synem, wywołało naprzód pannę Helenę. która pobiegła po gospodarza. Matka i Zdzis mieli czas rozpatrywać się w kosztownościach pięknego domu. nim widocznie ubrany na prędcę baron Mangold, sztywny. milczący, pełny pożyczanej jakiejs powagi, nadszedł prowadząc z sobą córkę, także swie-

zo do gości ubraną. Rozmowa z nimi nie była nigdy bardzo ożywiona, nie wychodziła ona z granic najpospolitszej paplaniny o pogodzie, zabawach i nowinach publicznych. Tego dnia Mangold zdawał się jeszcze do niej mniej usposobiony, a śliczna Elsa gdy się uśmiechnęła i obdarzyła kogo wejrzeniem, zdawała się zupełnie spokojną z dopełnienia wszelkich towarzyskich obowiązków. Szczęściem przytomniejsza panna Hela, nie okazująca też wykształcenia, ale wiele przytomności umysłu i zdolności do rozmowy, próżnie milczenia starała się czemkolwiek wypełniać.

Z baronem będąc, gdy się go zdaleka widziało, miała pozór, kształt, powierzchowność całą tego, co się zowie *homme du monde*; zbliżywszy się doń, doznawał każdy najokropniejszego zawodu, bo mówić nie umiał, myśleć się nie zdawał, a odzywał się z rzeczami tak trywialnemi, wygłaszanemi gdyby z trójno-ga, że wprawiał słuchacza w największe zakłopotanie. Zdawało się mówiąc z nim, że mu wiele najelementarniejszych wiadomości brakło, i dla tego trzymał się w ciasnej sferze, jaka mu była znana, lękając się wyjść za granicę, aby nie obłąkać.

Piękna Elsa miała też ojcowską wadę — nieobfitą wyobraźnię i ciężką wymowę, ale śliczna będąc, mówiła tak wiele oczyma i twarzą, iż nikt nie czuł ubóstwa jej myśli i braku uczucia.

Panna Hela, która zdawała się zdawać sobie dobrze sprawę z tego kalectwa barona i baronówny, mówiła za troje choć nie bardzo do rzeczy. Każda tu rozmowa w niedostatku przedmiotu kończyła się nieuchronnie jednym — pokazywaniem bardzo pięknych różnych rzeczy, ogrodu, kwiatów, obrazów, aż do klej-

notów panny, i opowiadaniem z kąd to wszystko było posprowadżane i jak wiele kosztowało...

I teraz też hrabina ze swą zwykłą uprzejmością poszła oglądać, mności. chwalić. Baron poważnie a milcząco poszedł za nią, czasem dorzucając jakieś słowo. a Zdziś tak uczenie manewrował, iż szedł ciągle około Elsy, która darzyła go wielką obfitością wejrzeń i półusmiechów. Parę razy spróbował cichą zawiązać rozmowę, ale ta kończyła się zawsze ciężko wyjąknionem słówkiem, które Zdziś mnsiał brać na tortury, aby z niego coś wyciągnąć.

Hrabina tak uczła się wkrótce zmęczona temi odwiedzinami, iż pod pozorem pospiechu i wielkiego zajęcia, chciała pożegnać barona, lecz nie mógł on zezwolić na to, ażeby odjechała nie widząc jego sreber i porcelany. Panna Hela pobiegła przyspieszać podanie herbaty.

Otworły się nareszcie podwoje... W głębi salonu stał srebrny — tak jest — cały srebrny samowar w kształcie urny i mnóstwo niepotrzebnych błyszczących herbarianych przyrządów, stała saska porcelana herbowna, i służba w liberyi za krzesłami. Trzeba więc było przejść do drugiej sali i znowu te nieszczęśliwą prowadzić rozmowę, która szła kulejąc i padając co chwila. Jednemu Zdzisiowi siedzącemu naprzeciw panny było jak w raju. patrzył na to cacko tak istotnie piękne, iż wzrokiem nakarmić się było można; patrzył na przemiany, na jej śliczną główkę, na zachwycające oczy, na nsteczka maluchne, na drobne i kształtne rączki, na utuczoną postać całą, która obiecywała się rozwinać w kwiat najcudowniejszy.

Patrzył Zdzis i powtarzał sobie: — albo ona, albo żadna!

Baron był wielce poważny, a im mniej mówił, tem mocniej się wyprostowywał i mocniej zamysłoną przybierał postawę. chrząkał. patrzył w okno... a niekiedy wzdychał... Pauza Hela wynagradzając brak rozmowy, puszczała się w opowiadania i reminiscencye. ale nie dowodzące wielkich w świecie stosunków. To co widywała, najczęściej z ulicy. z łoży i z daleka tylko było jej znane. Po herbacie, konfiturach, owocach, łakociach... można się było uareszcze pożegnać, i gdy hrabina siadła do powozu, odetchnęła lżej. Do stała aż bólu głowy od tej wizyty tak nad wyraz ciężkiej. Zdzis był w zachwyceniu.

— Ale bo mama się nie potrzebuje męczyć, rzekł... i jeździć ze mną. pojedę sam gdzie jeszcze być muszę.

— A gdzież być musisz? spytała hrabina.

— U kapitana.

Matka się zarumieniła.

— Ależ to po drodze — odezwiała się żywo — możeby do nich wstąpić na chwilkę... nie chcę, abys tam był sam. Stasia dobre dziecko. ale taki trzpiot.

Z kolei Zdzis się zarumienił.

— A! droga mamo, rzekł — czyż się można o mnie lękać... z powodu Stasi!

— Wstąpimy oboje — chcę u nich być — kapitana szanuję, nie byłam tam od wieków, będzie mi wdzięczny za tę grzeczność.

Wychylił się więc Zdzis i kazał jechać na Wólkę.

Była to mała wioska szlachecka, a dwór stary pod słomą. ogródek starą modą w kwatery, lipy

w dziedzińcu, gołębnik niedaleko. folwark naprzeciwko... Ogromny krzyż drewniany stał wprost naprzeciw domu, otoczony krzakami róż i akacyami. u dołu bluszczem okryty...

Wiejsko tu było i bez żadnego przymusu, aby się to inaczej wydało ludziom niż w istocie. Gdy karetą hrabiny pokazała się na grobli, w dziedzińcu zrobił się zamęt wielki. Parę razy w ganku mignęła biała sukienka Stasi; potem chłopak ruszył cwałem na pole po kapitana; mąka. która leżała na stoliku przed domem, została przez dziewczęta sprzątnięta; zapędzono kury wałęsające się w podwórku do kojca; spętanego chorego konia, który się pasł na trawniku, zmuszono wejść do stajenki; a mały. bosy chłopaczek otworzył wrota...

W ganku z chusteczką od słońca na głowie stała Stasia gospodyni, opodal nieco otyła klucznica czekała na rozkazy... Serdecznie przywitała kapitanówna hrabinę... która się rozczuliła... rzuciła okiem wesołym na Zdzisia i otworzyła sama do pokojów. Po małym dworku trudno się było spodziewać, ażeby krył w sobie pomieszkanie tak miłe i ładne.

Salonik zieleniał kwiatami, meble były stare, ale piękne swego czasu, przepyszny fortepian nie ustępował Bösenderferowi Mangoldów, a był od niego lepszy. Na stolikach pełno bukietów, a wszystko tak świeże, śmiejące się, wdzięczne, że choć sufit był niski i posadzka nieciekawa. salon się wydawał bardzo ładnie... Dalej za nim widać było parę pokojów, równie starannie przybranych, a zaraz w drugim ogromną szafę gdańską, tak piękną, że i pański pałac mogłaby zdobić. Po stolikach i komódkach

wiele rzeczy starych i rzadkich z lepszych czasów przechowywanych stało jak relikwie pielęgnowanych.

Stasia poprowadziła hrabinę do kanapy. podsunęła jej sama stoliczek pod nogi i zapewniwszy, że ojciec przyjdzie natychmiast. zaczęła piękną panią bawić jak nmiała.

— Jaka też pani dobra! czy to się godziło fatygować do nas? Jnż nie wiem jak pani dziękować...

— Od dawna życzyłam sobie — uśmiechając się mówiła hrabina... tak mi Wólkę miło zobaczyć...

Wtem kapitan wpadł rzucając swój słomiany kapelusz na ziemię. i podbiegł witać hrabinę.

Stasia naturalnie opanowała pana Zdzisława natychmiast, ojcu zostawując rozmowę z matką.

— Wiesz pan, szczebiotała do Zdzisia — takem się ubawiła u państwa, że mi potem trzy dni potrzeba było, aby odpocząć, wytrzeźwić się. Muzyka grała mi wciąż w głowie, nogi chciały jeszcze tańcować. we śnie nawet musiałam ciągnąć dalej ostatniego przerwane go mazura...

Z kim? zapytał Zdzisław.

— Z Żabickim, z panem i z sześciu przynajmniej innymi partnerami... A! jakżeśmy się z łaski państwa monumentalnie bawili...

— Monumentalnie? podchwycił Zdziś.

— Dla czegoż nie? Zabawa także monumentalną być może, gdy na taką skalę jest urządzona... muzyka z piorunami, fajerwerk z błyskawicami, tańce przy księżycu... To się całe życie pamięta.

— Trzeba było, wtrąciła hrabina, chcąc rozerwać rozmowę syna z niebezpieczną Stasią — musiałam się

Zdzisiowi dać wybawie, bo teraz gdy rozpocznie uniwersyteckie studia. długo będzie musiał śleźć nad książkami... a! długo!

— Jakże długo? spytała Stasia..

— Lata! cale lata... a ja — mówiła matka, będą liczyła dni. godziny, jak paciorki różańca po jednej, póki go znowa zobaczę, i doczekam się powrotu.

— Ależ hrabia odwiedzi panią?—spytał kapitan.— bo i akademicy ferye mają.

— Tak, może—odezwiała się hrabina, —choć te ferye powinien zużytkować na małe wycieczki nankowe.

— To o nas. o Samoborach... zupełnie pan będziesz miał czas zapomnieć—szepnęła Stasia.

— A państwo o mnie.

— Przepraszam, bo my tu zostaniemy sami. a hrabia będziesz otoczony mnóstwem nowych ludzi, pewnie więcej zajmujących, miłszych. niż wiejskie stworzenia, które tu porzucisz...

Stasia chciała pobiedz przygotować herbatę. ale hrabina wymówiła się od niej; poszedł więc tylko kapitan po jakieś doskonałe owoce, które sam chciał przynieść. Na Stasię nalegano, ażeby zagrała. lecz skromnie wymówiła się od tego.

— Nie umiem grać na popis do słuchania, rzekła — jakam się gdy widzę ludzi. grywam gdym sama...

Ta rozmowa szła tak żywo i wesoło. że ani Zdzis. ani matka jego nie postrzegli się. gdy się ściemniać zaczęło, a z Wólki tak było blisko do Samoborów, że przejazd znaną drożyną nie groził żadnem niebezpieczeństwem. Stasia była wesoła na

pozór, choć w istocie więcej zamysłona, poważniejsza niż zwyczajnie. Spoglądała na Zdzisia tak czasem dziwnie, ściągając wzrokiem do duszy, że się mieszał i czerwienił.

Na nią nie śmiał tak patrzeć, jak na Else, której oczy odpowiadały mu chłodno i niezrozumiale; ze Stasi tryskało życie, każde jej słowo brzmiało tą siłą myśli młodej, co je wydała... Hrabina też zawsze w obawie, aby trzpiotek ten głowy synowi nie zawrócił, jak tylko mogła najprędzej pożegnała kapitana.

W progu Stasia rączkę podała dawnemu towarzyszowi młodości, życząc mu szczęścia w podróży—w oczach jej niby łezka się prześlizgnęła niedostrzeżona, czuła, że to być musi rozstanie ostateczne, że świat, ludzie, lata rozdzielić ich muszą przepaścią, i że ten Zdzis, który wyjeżdżał, już nigdy tym samym nie wróci.

Ona to daleko jaśniej widziała od niego, i żal jej było Zdzisława tego, który się miał zmienić na całą nową i nieznaną istotę.

— Jedź pan z Bogiem, szepnęła, a wracaj do brym i tym samym panem Zdzisławem...

Hrabina po wyjeździe milczała długo—myśl jej wróciła do rozstania z synem... i przyszłości... Jeszcze dni parę, a Samobory miały zamilknąć na długo... i Zdzis odlecieć między obcych ludzi, którzy go za pospolitego człowieka wziąć byli gotowi. Zdzisia!

Dzień ten naostatek nadszedł. Wszystko było gotowe, pokoje jedynaka smutne stały i odarte z ozdób — powozy wypakowano... Z rana przybył

ksiądz kanonik ze mszą i błogosławieństwem. Wszyscy dworscy zeszli się na nabożeństwo, hrabina płakała, a panna Róża dla samego dowodu przywiązania do niej płakać musiała także. Zdzisiowi było trochę smutno, lecz czuł się mężczyzną, a podróż go dosyć nęciła... Gdy kanonik wyszedł w komży i stule z agendką, aby go pobłogosławić — ukląkł i na chwileczkę pożalował dni ubiegłych.

Wyszli razem z matką... Dzień był bardzo piękny, jasny, nie skwarny, a w uaturze spokój zapowiadający długą pogodę... Hrabina nie mogła jeszcze z tą myślą się oswoić, że nazajutrz rano przy śniadaniu nie przyjdzie Zdzisław pocałować jej w rękę. spytał jak spała i rumianą swą pokazać jej twarzyczkę. Z razu nie miała zamiaru odprowadzać go wcale, potem kazała zaprządz. by z nim jeszcze odjechać do najbliższego miasteczka. Panna Róża towarzyszyć jej miała gdyż hrabina w prostocie ducha przypuszczała, iż tem jej i profesorowi uczyni przyjemność. Ułożyła nawet sama wsiąść do powozu z synem, a ich wyprawić drugim, aby poufale rozmówić się mogli. Wszystko to dobre jej, niewieście dyktowało serce...

Zdziś z równą czułością biegał żegnać starych przyjaciół, sługi, towarzyszków myśliwskich wycieczek, zgromadzonych ekonomów, leśniczych i cały mnogi dwór samoborski, szczerze do niego przywiązany. Chwila to była dziwnie uręczysta, choć rozstanie długiem być nie mogło: ale panicz wyruszał w świat po raz pierwszy i bez niego czegoś tu miało zabraknąć...

Do miasteczka były dobre dwie mile... Już wieżyczka parafialnego kościoła zarysowała się na widno-

kragu. gdy na gościńcu naprzeciw ukazał się powóz. który zdała poznano po kulawych koniach jako prezowski...

Rozczuliło to niewymownie hrabinę. że pocziwy opiekun tak niespodzianie, mimo swych nóg nabrzękłych, spieszył jeszcze. aby Zdzisia uścisnąć...

Gdy powozy zbliżyły się do siebie — głowa prezesa ukazała się z landary, ale tak blada, z rysami zmienionemi. dziwnie wywrócona. wylękła. nieprzytomna, iż hrabina z razu ledwie poznać go mogła.

Mohyla patrzył osowiałemi oczyma, nie zdając sobie sprawy ze spotkania. nie ruszając się z powozu, niepewien co począć miał z sobą, — patrzył z ustami otwartemi, jakby osłupiały.

— Co mu jest? zawołała hrabina — na Boga! co mu jest?

Zdziś wyskoczył podchodząc do drzwiczek...

— A! kochany, drogi prezes... żeby się też tak facygować... Mama mnie odprowadza...

Prezes ścisnął Zdzisia ze łzami w oczach, nie mówiąc nic, nie mógł jeszcze z jakiegoś wzruszenia przyjąć do siebie...

— Czy nie chory pan prezes? zapytał Zdzisław.

— A! — tak — tak — chory — chory — bardzo .. I łzy potoczyły mu się z oczu. i milczał...

— Możeby powrócić do miasteczka?

— Powrócić — a no — tak jest.. po wrócić... a państwo jedziecie?

— Ja wyjeżdżam, kochany opiekunie.. Mama mnie przeprowadza.

Mohyla powiodł ręką po czole...

— Więc... jedziecie państwo—jedziecie—ja zaraz. zaraz pospieszę...

Zdziś ścisnął jego rękę, hrabina się uśmiechnęła z daleka i ruszyli dalej—powóz prezesa został na drodze...

Oczyrna z daleka badała go panna Róża i wyraz twarzy oswiały starego nie uszedł jej baczności.

— Panie Wilemski—zawołała do profesora: idź się pan dowiedz, czy prezesowi nie zrobiło się źle w drodze. okropnie jest zmieniony.. mam z sobą wódkę kolońską dla pani, wodę pomarańczową — eter... może...

Wilemski podbiegł do Mohyły. który tym samym ciągle wzrokiem patrzył na oddalający się powóz hrabiny.

— Panie prezesie, dobra panna Róża pyta. czy pan nie chory? może wódki kolońskiej... kropli...?

Prezes ręce tylko załamał. z oczu potoczyły mu się strumieniem łzy...

— Co panu takiego!

— Niestety, okropne nieszczęście! wyjąknął stary... piorun! piorun!

Wilemski stał osłupiały, nie mogąc zrozumieć, a też i panna Róża widząc te ruchy rozpaczliwe, nadbiegła.

— Co to jest panu prezesowi?

Nie mógł już stary odpowiedzieć, rzucił się w głąb powozu i chustką zakrył sobie oczy. Ludzie otaczający przerażeni w milczeniu nań patrzali. Panna Róża śmielsza otworzyła drzwiczki powozu wołając:

— Cóż się stało? na miłość Boga! mów pan...

Stary dopiero głos kobiety usłyszawszy. oprzytomniał, podniósł się. obejrzał i zebrawszy myśli odezwał głosem złamanym:

— Nie mogę mówić jeszcze co się stało—nie mogę, toby ją mogło zabić... Złóżcie to na moją chorobę...

Zbliżył się do ucha panny Róży. która na pół przechyliła się do powozu.

— Powiem tylko pani — nieszczęście wielkie. niespodziane, spadło na dom... na tę nieszczęśliwą hrabinę naszą i na kochanego Zdzisia... Nie mogę mówić więcej — nie mogę... Potrzebuję się widzieć z kimś.. radzić—ratować...

Panna Róża zbladła jak marmur i chwilę stała niema.

— Na miłość bożą, w tej chwili nie mów pan nic pani, złóż ten stan swój na chorobę—niech Zdzis jedzie... niech hrabina do ostatniej chwili nic nie wie, cobykolwiek być mogło... Ale cóż? co mogło się stać?

Prezes trząsał w milczeniu głową, jak człowiek, któremu wyrazów braknie na wyrażenie tego co czuje. i siły brak na przeniesienie ciosu. jaki go dotknął...

— Jedźmy — rzekł — jedźmy... I rzucił się w głąb powozu.

Nic już więcej wydobyć z niego nie mogąc. Panna Róża z profesorem powróciła do swojej karetki.. cała drżąca i przejęta trwogą straszniejszą nad inne bo nieokreśloną — nieznaną... Odgadnąć co mogło się stać, kusiła się na próżno...

Profesor także siedział osłupiały. ze zwrotem myśli na siebie. Prawy egoista najprzód starał się zbadać czyby to coś. co się stało, jego dotknąć mogło

lub nie? Prosty rozsądek wskazywał, iż co dotykało Samobory, nie mogło się na nim nie odbić... Cieszyło go to, że bądź co bądź, jeszcze się nie ożeniwszy, gdyby został ręką losu dotknięty, od ołtarza cofać się potrafi.

Lecz co mogło dotknąć tę rodzinę?

W milezeniu dojechali do miasteczka. Tu panna Róża wysiadła pierwsza i pobiegła oznajmić hrabinie, iż prezesowi bardzo się źle zrobiło w drodze, że prawdopodobnie podagra musiała podstąpić do góry, i że najlepiejby było odprawić go nie zatrzymując do lekarza, bo nawet rozmówić się z nim było trudno.

Hrabina więc wysłała Zdzisia, ażeby opiekuna pożegnał i prosił o to, aby się wcale nie zatrzymywał. Niezmiernie jej było przykro, iż stary jak się jej zdawało, dla Zdzisia tę podróż odbywszy, tak się nią naraził...

W miasteczku, gdzie hrabina była bardzo kochana, zebrało się mnóstwo ludzi, dowiedziawszy się o wyjeździe młodego panicza... Konie pocztowe już stały dla niego i tłum je ciekawym otaczał. W obec tego zgromadzenia odbyło się raz jeszcze pożegnanie. Zdzisł upadł do nóg matce, którą panna Róża podtrzymywała i trzeźwiła, sama blada i zapłakana.. Obawiając się spotkania z prezesem, natychmiast nalegała troskliwa towarzyszka, aby kochana hrabina nie rozczulając się więcej, co jej zdrowiu zaszkodzić mogło, siadła do karety i odjechała...

Co prędzej kazano też odjeżdżać Zdzisiowi, obok którego zasiadł profesor zamysłony i nierad, iż się nie stanowczego nie dowie, w niepewności tej pozostać będąc zmuszony.

Z drugiej strony powóz prezesa zajeżdżał do jakiejś gospody... We drzwiach innego zajazdu całej tej scenie pożegnania przypatrywał się człowieczek oryginalnie wyglądający, stary, siwy, ze śpiczastą dziwnie głową, okrutnie garbaty, ale czerstwy i zdrowy, przykryj twarzy, pełnej jakiegoś szyderstwa i złości. Ódzież jego i postawa zwracała oczy wszystkich przyglądających mu się jak dziwowisku, o co on bynajmniej nie zdawał się troszczyć. Miał na sobie kapotę siwą krojem siermięgi nszytą, pas chłopski, czapkę na głowie z baranka i gruby kij prosty w ręce jednej, drugą trzymał butnie za pasem. Poczwarna ta figura z wielkiem zajęciem przyglądała się szczególniej powozom z Samoborów, matce i synowi. Gdy Zdziś biegł do stojącej i oczekującej nań poczty, ów garbus powiódł za nim dziękami oczyma z uśmiechem.

Obok tego nieznanego stało kilku urzędników, z których jedni trochę szydersko, drudzy z pewnem uszanowaniem nań spoglądali. Postać to była mimo swojego kalectwa i swojej prostej odzieży obndzająca ciekawość i zajęcie. Znać w niej było jakieś ekscentryczne położenie i wybitny charakter — nie był to ani prosty włościanin, ani za-domowiony szlachcic okoliczny. Na twarzy szpetnej widać było rozsądek i energią nienawykłą do ulegania. Gdy Zdziś siadł i konie pocztowe ruszyły, garbus się rozśmiał na głos i kijem w ziemię uderzył.

— Cóż pan hrabia rozkaże? odezwał się nrzędnik przystępując do niego.

— Tylko mnie proszę hrabią nie zwać... Ot hrabiowie! wskazał śmiejąc się na Zdzisia i odjeżdżającą hrabinę — a ja... prosty chłop! prosty chłop... ta i tyle!!

*

W godzinę potem, w izbie jednej z gospód miasteczka, garbaty ów siedział z nogą podkurczoną pod siebie na stołku... Przed nim przyniesiony samowar kipiał. Kilku urzędników przechadzało się lub posiadało z dala.

Chłopak ubrany z kozacka pokazał się w progu.

— Batku—rzekł—jakiś pan, czy go puścić?

— A puszczaj! przecież nie chory i bez koszuli nie siedzę..

Otworzyły się zaraz drzwi i stary prezes Mohyla, którego służący prowadził pod rękę, z trudnością przez wysoki próg się wdrapawszy, sapiąc wtoczył się do izby. Zobaczywszy starca, garbaty powstał, i ręce włożywszy w kieszenie kapoty, parę kroków podszedł ku niemu.

Mohyla szedł jakby nie bardzo przytomny, cichym głosem się przedstawił.

— Mohyla Paweł, opiekun hr. Zdzisława.

— A ja Sebastian Samborski... odparł kłaniając

się z lekka i krótko garbus — siadaj pan, bo widzę na nogi niedomagasz...

Prezesowi podano krzesło, syknął i padł na nie. Z ciężkością podniósł głowę ku stojącemu garbusowi.

Urzędnicy będący w pokoju nieco się na bok usunęli. Mohyla ręką ocierał twarz, nie mogąc się zebrać na słowo.

— Wiesz hrabio, z czem przychodzę — rzekł cicho.

— A ki dyabeł z tym hrabią?—ofuknął garbaty—co za hrabstwo? Niech kto chce sobie ten dzwonek na ogonie czepia, ja go nie chcę... Jam nie żaden hrabia—widzisz asiudziej, stare chłopisko i serce chłopskie... proste...

— Tem—ci lepiej, jeśli serce proste wieśniacze — odezwał się Mohyla — prędzej do niego ludzkie trafi uczucie.

Garbaty się sucho rozśmiał.

— A co komu do mojego serca? — zapytał — nie kumało się ono z nikim i kumać nie będzie...

— Powiadasz pan szanowny, że proces w ostatniej instancyi wygrałeś... począł prezes.

— Ja? to nie powiadam — odwrócił się do urzędników — niech wam ci panowie powiedzą. Stoi czarno na białem i pod pieczęcią...

— Cóż teraz myślicie?—rzekł prezes —trzeba układów, porozumienia... między rodziną.

Garbaty znown się śmiał, okręcił się na jednej nodze, ręką uderzył po biodrze

— Dobry ty stary! A no! do układów czas, kiedy moja na wierzchu! Albo z jaką to familią? ja żadnej nie znam.

— Toć przecie bratanek i bratowa... — rzekł Mochła.

— Jako żywo brata nigdy nie miałem, miałem nieprzyjaciela tylko, żywo począł garbaty.—[Ja asindziejowi osobiwszą rzecz powiem: ja ojca nie miałem, ja nie miałem nikogo oprócz dwóch garbów od natury macochy...

I rozśmiał się oglądając po urzędnikach.

— Jej Bohu! a no tak! Jaka rodzina?? Patrz asindziej (wziął się za włosy), siwiuteńkie... ja stary jak grzyb, ale zdrów jak grzyb... żyłem przeżyłem tyle lat o żadnej familii nie słysząc. Musiałem sobie ją sam stworzyć... żadnej innej nie znaju, nie wiedaju.

Garbem ruszył—i śmiał się.

— Przecież gdyby nie nad rodziną, to nad ludźmi i obcemi litość mieć potrzeba — odezwał się prezes.

— Nie potrzeba! nie potrzeba!—przerwał garbaty—gdyby była potrzeba miałby przecie kto litość nad garbusem... a nie prawda, nie miał jej nikt, i garbus się nauczył, że litość głupstwo... Każdy sobie garbie, każdy swojego pilnuje. a lezie mi kto do misy — to go w łeb... I po wszystkim... U mnie tak, panie prezesie... Gnębili mnie, będę ja gnębił—zęb za zęb! Pismo Święte mówi, oko za oko... Tak w prawie stoi.

— To nie Chrystusowe prawo... — wtrącił prezes.

— A to Chrystusowe. gdy dziecko wyrzucą na gnój, gdy ojcowiznę mu wydrą? to Chrystusowe? — zawołał garbaty. — To jak drzeć. zapominacie o Chrystusie, a jak was drą. dopiero się nim zastawiacie? Dobrzy z was chrześcianie.

Prezes westchnął. Garbaty począł po izbie chodzić podrzucając nogami do góry.

— Jeżeli wy myślicie, że ja sobie szpilkę, żdźbło. prószynę, pylinkę dam odebrać dla miłosierdzia, to mnie nie znacie — u mnie tego nie ma w kramie... nie! Ząb za ząb! U mnie ani wypłakać, ani wymoldić, ani wyszachrować nic nie potraficie... Co moje odbiorę.

— Ale na miłość bożą — toć właśnie nie o co innego idzie—zawołał prezes.—Niech stanie dział sprawiedliwy...

— A jakiego to wy sądu prezesem byliście! — ozwał się garbaty szydersko—czy tego co między złodziejami a okradzionym krakowskim targiem przez pół zawsze sądzi, aby był wilk syty a koza nie cała? Teraz dopiero chcecie dzielić, gdyście trzydzieści lat pili śmiałankę, a serwartkę mi chcecie dać. Trzymaliście majątek... nie stanie całego na to co mi się należy... i co mi sąd sprawiedliwy przysądził... nie stanie Samoborów... pójdę z torbami!

— Toć nie może być—to bratanek wasz!

— Jaki mi on bratanek — to hrabia, a ja chłop. jużem wam mówił. że u mnie familii nie ma... Swoje dzieci znam, reszty nie znam...

— I nie powstydzisz się pan obywatelstwa. publiki... sądu ogólnego...

Garbaty się pociesźnie w boki wziął.

Niebieskie Migdały T. I.

— Ja się nie wstydzę przed Panem Bogiem z tem stanąć, a myślicie, że się zleknę, gdy na mnie trzech żółto brzuchów oczy wyrapi?... Albo ja z niemi będę żył, albo ja o nich dbam, albo oni mnie braty, czy swaty?... Nie ma trybunału na świecie, co by mi nie powiedział: Łepski jesteś Sebestyanie, nie dałeś się w kaszy zjeść — jadłeś ty rzepę i kartofle bez omasty, niechajże i oni ich skosztują... Nie byłeś waszeć w mojej skórze i nie wiesz com wycierpiał.. nie wam mnie mierzyć i sądzić.

Prezesowi głowa opadła na piersi.

— Mój Boże! — zawołał jakby sam do siebie — gdy pomyślę o losie tego dziecięcia! tej kobiety...

— Serce masz asindziej miękkie, jak widzę — odparł garbus: to nic potem... Ja mu dobrodziejstwo wyświadczę temu gagatkowi! A tożby zgnił tak w tych pieszczotach pańskich, sparszywiał, i byłby taki jak ojciec, albo jak drudzy, do tańca może, ale ani do różańca, ani do zarwańca... Jak go pchną w świat bez grosza w kieszeni, a kulakiem jeszcze w plecy. kto wiel może z niego być człowiek, a tak to będzie gułka...

I przeszedł się po izbie. Prezes słuchał lecz uszom nie wierzył. siedział uieruchomy, nie wiedział już jak doń mówić...

— Toż przecie — rzekł — tyle lat ten proces trwał, że my go też jeszcze wznowić możemy...

— Jak możecie, to go wznowcie — rzekł garbus — i owszem, służę, będziemy się bawili dalej. Tylko na nieszczęście jam to tak urządził. że już nie ma dzinry któredybyście na nowo wleźli... nie ma apelacyi... nie ma nic — nic — nic — nakazano egzekucyę... Potem

jeśli wam smakuje, będziecie protestowali choć do końca świata, ale ja w Samoborach będę siedział i z pałacu zrobię browar, a z parku pole... kamień na kamieniu nie zostanie... aby się ludzie w tych pieszczotach nie psuli, bo do nich sumieniem lgną i cnotą!

Urzędnicy stojący z boku, oniemiały słuchali.

— Stara hrabina musi mieć krewnych — dodał — dadzą jej chleb łaskawy; przynajmniej ich miała, gdy bogatą była — może potem znajdzie się choć jeden; a gagatka wezmę za parobka do wołów, jeśli chce...

Prezes milczał, oburzenie mowę mu odbierało. Obejrzał się nie mogąc sam wstać. bo chciał odejść, nie mając już nic więcej do powiedzenia niewzruszonemu garbusowi. W twarzy jego widać było jakieś podniesienie ducha niezwykle.

— Czyń co ci twoje pozwala sumienie — zawołał głosem uspokojonym. — Winę przeciwko wam i winę waszą zmierzy i wyważy Ten, co liczy piasku ziarna w morzu — Najwyższy Sędzia... lecz pomnijcie to, że Jego sprawiedliwość was nie minie. i że jeśli wy weźmiecie więcej łez niżeliście wyleli.—on z was ściągnie zemstę, on domierzy... Bóg z wami!

Gniew dodał mu siłę. i prezes wstał nagle o swej mocy, spokojnym wzrokiem patrząc na dzikiego garbusa...

— O tem ja dawno wiem — rzekł Sebastian — iż z życia rachunek zdać przyjdzie—a widzicie. że się go nie lękam, bo co czynię. wiem.

— Ja was o nic prosić nie będę — dodał Mohyla: — wiem już z kim mam do czynienia; jedno rzeknę tylko. niewiastę szanujcie... dajcie czas ją przygotować

aby ten piorun nie ubił jej — nie napadajcie na nią... dopóki...

— Dopóki? — zapytał garbus marszcząc brwi... — dopókiż? aż będzie miała czas pochować i posprzedać co moje i wynieść się z węzełkami? Sprawiedliwość zawsze jak piorun spada i ubija — bo na to sprawiedliwość jest mieczem. Jam tu nie przybył pieścić, ale swoje odebrać — dodał chmurno garbus.

Po tych słowach Mohyla już nie skłoniwszy się nawet, posunął się ku drzwiom milczący. Urzędnicy świadkowie tej sceny stali pod przykrem jej wrażeniem. Hrabina była tak powszechnie szanowana i kochana, iż ani jeden z tych, co ją znali lub słyszeli o niej, nie mógł bez oburzenia pomyśleć o losie, jaki ją spotykał. Głuche więc milczenie otoczyło garbusa, a spojrzenie po twarzach mogło go przekonać, iż okrucieństwo jego nie zjednało mu przyjaciół. O to jednak wcale się dbać nie zdawał. Przeprowadziwszy oczyma prezesa do drzwi, powrócił do stolika i począł zamaszysto gospodarzyć przy herbacie. Milczał tylko usta zaciągwszy.

Prezes z pomocą sługi, który stał pode dzwiami zwłókł się do swojej izdebki, rozkazując konie zaprzęgać. Nie było chwili do stracenia, chcąc hrabinie oszczędzić ciosu, który ją miał tak niespodzianie uderzyć, chcąc może choć cokolwiek uratować z mienia przed nielitościwym mścicielem.

Prezes choć słaby, czuł się w obowiązku nałożenia bodajby życiem, sam jednak nie podolałby niczemu — myślał do kogo się miał udać, komu zwierzyć, kogo użyć? Na myśl przyszedł mu wreszcie kapitan Porowski i do niego postanowił jechać bez zwłoki

Zbierał się jeszcze do tej podróży, kazawszy sobie nogi poobwiązywać, gdy jeden z urzędników, których widział w izbie garbusa. wsunął się po cichu do niego.

Był to człowiek, któremu hrabina córeczkę do chrztu trzymała, łagodnego charakteru i dobrego serca. Cały pomieszany zbliżył się do prezesa, ujmując go za rękę.

— A! panie prezesie — zawołał — cóż się to stało? jak mogliście dopuścić?

— My! dopuścić! — odparł Mohyla — aleśmy się pilnowali z procesem do ostatka. umyślniesmy plenipotentą trzymali do niego — ten nas sprzedał i zdradził! W chwili gdy sprawa była w najwyższej instancji, nie znajdował się na miejscu... Piszą mi, że go kupiono za sumę znaczną.

— I nie masz żadnego ratunku? — zapytał urzędnik — a hrabina?

— Nie mów, nie wspominaj mi o tem! — rzekł prezes — ja to życiem przypłacę. ja byłem ich opiekunem! Na mnie spadnie wina cała... na mnie sroun. na mnie gniew...

To mówiąc trząsł się stary i płakał.

— Jeśli ludźmi jesteście i serca macie — dodał — starajcie się zwlec zjazd na grunt tego zwierzęcia... Ja natychmiast jadę przygotować tę nieszczęśliwą, ratować co można... zrobić co w ludzkiej mocy. resztę uczyni Bóg jak wola Jego.

— Jeszcze nas nie ma kompletu — szepnął urzędnik, bądź prezes spokojny. uczyni się co można. ażeby zwłokę osiągnąć... dziś, jutro nie ruszemy się ztąd.

— Niech wam Bóg na dzieciach płaci — ściskając go dodał prezes—ja jadę natychmiast... Trzymajcie to zwierzę!!

Służba dała znać Mohyle, iż konie czekały, ruszył więc natychmiast. Nim jednak złą groblę za miasteczkiem przeżył, i namyslił się potem, że mu należało dalszą drogą do Wólki jechać, aby Samobory minąć i nie pokazywać się w nich—zebrało się na mroki wieczór. Prezes koni kazał nie szczędzić, ażeby przed nocą u kapitana stanąć, tam główną kwaterę założyć, rządcę i panę Różę do siebie wezwać i zrobić co jeszcze było możliwe. Biedny stary czuł się na sumieniu nie zupełnie swobodnym, wyrzucając sobie zbytnią w interesach powolność, a może, może nawet zaniedbanie. lub przynajmniej zbytnek zaufania w niepoctwym plenipotencie.

Przez całą drogę stał mu w oczach obraz tej kobiety rozpieszczonej, przywykłej do zbytku przez całe życie, przywiązanej do pewnych form i trybów. bez którychby się obejść i wytrwać nie mogła—nagle pozbawionej wszystkiego, odartej z mienia, pozostającej bez domu, na łasce ludzi... Rozdzierało mu to serce... On sam nie był majątny, miał syna i córkę, a interesa własne Mohyły były jak konie, którymi jechał w stanie najopłakawszym. Gdyby chciał dopomóc, nie mógłby nic uczynić więcej, chyba ofiarować schronienie we własnym domu, w którym największy nieład panował.

Hrabina pochodziła z wielkiego, ale zubożałego domu; bracia jej straciliwszy majątności znaczne, resztki ich sprzedawszy, powynosili się i osiedli za granicą. Do nich też odzywać się nie było sposobu...

Sami oni z wielkimi tytnłami i pretensyami mieli fundusze obojgu nie wystarczające. W kraju nie było nikogo, oprócz tak dalekiej i zubożonej rodziny, o której się zapomniało, że dziś do niej odwoływać było niepodobieństwem. Mały posag hrabiny, nie zapewniony na dobrach, na których miała dożywocie, odzyskany być nie mógł — prawie śladu po nim nie zostało.

Ruina więc zdawała się tak niełitościwie zupełną, iż prawie nic z niej uratować nie było podobna. Pretensye przyznane garbusowi, który się dopilnować umiał, przechodziły tak dalece wartość Samoborów — iż sekwestrator musiał dotknąć ruchomy majątek, który szedł na ich zaspokojenie.

Wszystko to chwilami zdawało się prezesowi niepodobieństwem, snem, zmorą — a w chwilę potem czując w kieszeni papiery które wiozł, przekonywając się, że to była prawda i rzeczywistość, stary bezsilnie płakał i modlił się.

Noc już była, bo księżyc wschodził późno i nie doczekał się go prezes — gdy przed ganek w Wólce zajechał, ledwie się dokołatawszy do bramy. Wszystko tu spało, tylko w salonie widać było światło przez story i słyhać muzykę. Stasia, która po nocach grać lubiła, biegała po fortepianie, marząc na nim i bujając po klawiszach. Nie posłyszała zajeżdżającego powozu i gdy prezes otwarłszy drzwi ukazał się w progu błądy jak widmo, przełękła się okropnie.

Wydał się jej jakimś upiorem z grobu wychodzącym o północy... Krzyk jej tak oniesmielił Mohylę, że stanął nie śmiejąc kroku zrobić naprzód...

Dziewczę jednak opamiętało się natychmiast i przybiegło, ręką uciskając bijące jeszcze serce. przeprosić starego...

— A, przebacz pan... alem się straszliwie przełękła... wszak to już tak późno! nikt mi nie oznajmił... Pan tak jakoś blado wygląda...

Mohyla ledwie mógł mówić.

— Daruj pani, najprzód usiąść muszę, bo mi się nogi trzęsą. Gdzie ojciec?

— Ojciec chodzi po ogródku i odmawia pacierze wieczorne... pewnie słyszał powóz i przyjdzie natychmiast...

Nie śmiała spytać, co go tu sprowadzało?... a odwiedziny same z siebie były dziwne, bo prezes od lat dwóch u nich nie był — cóż dopiero w takiej porze, i właśnie w tym dniu gdy pupil jego wyjeżdżał za granicę!

Stasia myślała w duchu, dla czego nie zanocował w blizintekich Samoborach. gdzieby mu nieskończenie było wygodniej?

Prezes smutnej nowiny nie chciał jej powierzać, patrzył wzrokiem osłupiałym. czekając ojca.

— Zkąd pan jedzie? czem panu służyć? zapytała szybko Stasia.

— A! moja panno Stanisławo — załamując ręce zawołał stary: jadę z takim brzemieniem na piersi. tak znękany, tak nieszczęśliwy. że mi słowa zamierają na ustach. .

— Cóż to jest! na Bogal krzyknęła Stasia, której na myśl przeszło, że się to rodziny Samoborskich tykać mogło.

— Gdzież ojciec? gdzie kapitan? dowiedcie się zaraz.

Mohyla oglądał się niespokojnie, Stasia chciała biedz po ojca, gdy ten wszedł powoli, z wielkiem zdziwieniem wpatrując się w prezesa.

— A toż to gość! zawołał... Jakim sposobem?..

— Dowiesz się aż nadto prędko co mnie tu sprowadza! westchnął prezes podając mu rękę—powiem ci tylko teraz, że nie wesele, ale smutek przywożę... Przybyłem umyślnie radzić się, ratunku szukam...

— Cóż się stało?

— Proces o Samobory na głowę przegrany! Niegodziwy ten prześladowca, zwierze nie człowiek, jedzie zabierać, tradować, sekwestrować wszystko aż do ostatniej łyżki. Plenipotent nas zdradził, sprzedał. Hrabina i jej syn bez kawałka chleba.

Ostatnie wyrazy prezes wymówił, i znowu się rozpłakał. Stasia rękami oczy zakrywszy padła na krzesło—jeden kapitan został na pozór zimny, nie dając widzieć po sobie wzruszenia.

— Pewno to? spytał.

— Przed kilku godzinami mówiłem z tym... z tą poczwarą, odezwał się prezes. Ułożył tak wszystko, aby sam razem z dekretem i urzędnikami przybył na miejsce. Hrabina o niczem nie wie, nie ma pojęcia—ona umrze!

— A Zdzisław?

— Zdzisław wyjechał...

— Należało go wstrzymać—rzekł kapitan.

— Cóżby on nam pomógł?

— Jakto? ze stryjem...

— Stryj! ale ten człowiek ze śmiechem powiada, że nikogo w świecie nie zna za krewnego... oświad-

czył mi wręcz:—Niech giną i z głodu zdychają, szpilki im nie zostawię.

Stasia, która ciekawie przysłuchiwała się rozmowie, zdawała się jej nie rozumieć.

— Ale jakże to może być? jestże to podobieństwem? hrabina... Zdzisław...

— Niestety .. moja panno Stanisławo, odparł Mohyla, prawdą to jest, a może jeszcze nie tak straszną się ona wydaje jak będzie w istocie.

— Cóż więc nam, przyjaciółom hrabiny pozostaje do uczynienia? zapytał kapitan. Skoro tak jest, ubolewania te próżne, trzeba czynu, trzeba się zająć, coś robić. Mówcie—co?

— Ani chwili do stracenia nie mamy!—odezwał się prezes. P. Sebastyan Samoborski znajduje się w miasteczku. uprosilem urzędników, aby najazd z nim wlekli. Zostaje nam kilkadziesiąt godzin czasu, ażeby hrabinę przygotować i co się da przewieźć i ocalić.

— To się bez Panny Róży nie obejdzie, zawołał kapitan—jadę więc do niej... natychmiast...

Zwrócił się ku drzwiom. córka pobiegła za nim bezmyślnie.

— Konia! zawołał przez drzwi—okulbaczycie mi konia natychmiast... i przyprowadzić.

Można sobie wystawić, jakie to wrażenie uczyniło w spokojnej Wólce.

— Gdyby nie moje nogi, zawołał, prezes, a! i gdyby nie moja głowa — pojechałbym natychmiast sam.. Tak jest, kochany kapitanie... do panny Róży trzeba się udać, ale zarazem zagarnąć co gdzie jest grosza i kosztowności, bo to być może ostatnim i jedynym ich funduszem... Kaźcie odemnie, przecie jeszcze mało-

wanym opiekunem jestem, niech rządca odda co do grosza... niech kasyer mi odeszle wszystko... ja odpowiadam za to...

— Lecz jakże przygotować hrabinę? krzyknęła Stasia— a jak to przed nią ukryć?

— Ukryć, niepodobna... przerwał kapitan... trzeba się ratować... Hrabina musi w sobie znaleźć mężstwo.

— Posłać po p. Zdzisława! mówiła Stasia...

— Nie potrzeba! dość będzie miał czasu dowiedzieć się o wszystkim... wtrącił prezes. O najpilniejszym myśleć należy... ratować resztki i ocalić hrabinę.

Kapitan kładąc rękawiczki, ze spuszczoną głową chodził po pokoju.

— O! mój Boże! jęknęła Stasia.— Ten dzień wesela, który miał być pierwszym. będzie dla nich ostatnim! Co za przeznaczenie. z takiego przepychu spać do niedostatku!... Ta burza... to było jakby oznajmienie innej, która się nad ich głowami zbierała...

Ale czyż to może być! mój Boże. czyż to może być! to nie sen!

Koń kapitana stał przed gankiem... Porowski podał rękę Mohyle, i milczący, zamyślony szedł do progu, córka mu się rzuciła na szyję — pocznł łzy jej na twarzy.

— Ojcie kochany, czemu co można. aby jej nłżyć... aby ją oszczędzić...

— Bądź spokojna... zrobię co potrafię... Bóg pomoże do miłosiernego uczynku.

— A jedź ostrożnie... tatku — na mostku... koń się czasem płoszy! jeszcze przeze drzwi dorzuciła Stasia.

Szczęściem dla niej pozostawał jej Mohyla. którego nakarmić i umieszczeniem go zająć się musiała—

nie miała więc czasu płakać i narzekać. Prezes wywoływany do rozmowy milczał posepnie... Znużony był tak, iż sam wreszcie prosił o pościel i łóżko...

Stasia obmyślawszy mu wygodny przytułek... sama postanowiła nie kłaść się i czekać na ojca...

Noc była spokojna, ale ciemna... Kapitan ruszył kłusem do Samoborów, najbliższą przez łąki drogą... We dworze mało już światła widać było, na folwarku u rządcy w oknach ciemno... Musiał podjechawszy pod nie kapitan dobrze bić w okiennicę, nim się Zadarnowicza, rządcy, dobudził. Przerażony tym niezwykłym jakimś hałasem, rządcą, człowiek młody i energiczny, wypadł na pół ubrany, narzuciwszy burkę na ramiona, nie mogąc pojąć co się stało ..

— Panie Zadarnowicz — zawołał kapitan zsiadając z konia, — sprawa bardzo pilna. każ dać światła i ubieraj się co prędzej. Przyjeżdżam od opiekuna prezesa Mohyły, który jest u mnie. Zaszły niespodziewane wypadki, nie ma chwili do stracenia...

Wołaj waćpan chłopca, aby konia potrzymał...

Przebudzony ledwie Zadarnowicz długo się nie mógł opamiętać. lecz stanowczym rozkazom kapitana nie myślał się opierać... Wbiegł więc do domku, aby ludzi pobudzić.

W chwili co żyło przeciągało się już i odziewało; przy podanym kaganku kapitan patrzył na zegarek—dochodziła godzina pierwsza po północy

— W pałacu wszyscy śpią? spytał...

— Naturalnie — odparł rządcą, — ale około godziny ósmej, jeśli pan zechce spocząć u mnie...

Kapitan spojrzał mu w oczy.

— My ani godziny czekać nie możemy — odezwał się krótko. Idź pan z ostrożnością do pałacu, aby nie budzić hrabiny, dostukaj się do panny Róży i proś jej, by natychmiast, rozumie pan, natychmiast, albo tu przyszła widzieć się ze mną, lub pozwoliła mi przybyć do siebie.

Zadarnowicz stał zupełnie oniemiały i nieprzytomny.

— Niech mi kapitan daruje—ale gdybym mógł choć wiedzieć o co idzie!

Kochany Panie—smutnie ale nakazująco odparł kapitan — wyobraź sobie, że się pali i że trzeba życie i mienie ratować. Tyle ci tylko powiedzieć mogę... Idź pan i uczyn jak proszę. kochasz pan hrabinę i jej syna?...

— A! panie! czyż o to pytać można?

— Nie mów więc ani słowa więcej... idź.

Zadarnowicz przerażony wybiegł.

— Czekaj pan — wstrzymując go dodał kapitan — wstąp do kasyera... wszystko co jest w kasie i gdziekolwiek bądź. natychmiast odwieźć do Wólki do prezesa...

Rządca pobladł... schwycił się za głowę i wybiegł.

Chwila oczekiwania wydała się Porowskiemu jak wiek długą—chodził wzdychając po izdebce rządcy, kawalerskiem mieszkaniu z pewną elegancją urządzonem... Iluż to ludzi razem z Samoborskimi stracić miało spokojny byt, miejsce, pracę i nadzieję! U rządcy tak wszystko było jakby na długie lata ubrane, ustawione i wygodnie obmyślane... a za kilka dni za-

pewne śmiecie tylko i puste kąty, tu także pozostać miały...

Zadarnowicz nadbiegł poprzędzając przełękłą pannę Różę, która zapomniawszy włosy związać nawet w jednym szlafrocuku i chustce, biała drżąc wpadła na folwark.

Kapitanowi w chwili gdy miał usta otworzyć, i jej się żal zrobiło—lecz czas był krótki, godziny policzone.

— Miej pani mężstwo i energię, rzekł, bo ich potrzebujemy w tej chwili. Nie będę pani przygotowywał, powiem krótko: — hrabina i jej syn przegrali proces o Samobory z p. Sebastyanem, urzędnicy i on są już w miasteczku do zaboru nietylko majątku, ale nawet ruchomości... Mamy ledwie kilka godzin czasu, aby ocalić co się da. Hrabinę trzeba obudzić i przygotować... a srebra, kosztowności i pieniądze odwieźć do prezesa, do Wólki—prezes jest u mnie...

Spojrzał na zegarek: — Już po pierwszej, dodał, do rana trzeba wszystko to dopełnić—czego nie ocalimy to jutro opieczętują i zabiorą...

Panna Róża nie zdawała się rozumieć dobrze z początku... utworzyła usta i oczy... patrzyła, słuchała... nie odpowiada nic. . kapitan skończył i czekał — nim oprzytomniała...

— Stało się więc — rzekła cicho—wieczne miałam przecucie czegoś podobnego... Stało się... stało się...

I w ziemię patrząc powtarzała, zadumana, ten jeden wyraz:—Stało się!

Nagle otrzęsa się z wrażenia, jakby przypomniawszy swoje obowiązki, poniosła rękę do oczu....

— Co się stanie z hrabiną? jak ja jej to potrafię powiedzieć? szepnęła sama do siebie...

— Panie Zadarnowicz — przerwała żywo — ja nie podołam wszystkiemu... Konie zaprządz do wozów, każ pan znosić srebra, zbudzić ludzi, kredencera, kasjera...

— Ale klucze..

Panna Róża szukała ich przy sobie, ale nie miała.

— Idź pan za mną, dam klucze. Proszę służbie polecieć. aby przez miłość dla pani zachowała się jak najlepiej... Jest-li pilno? spytała kapitana.

— Ale jak najpilniej — nie można zaręczyć za to, ażeby urząd rano nie zjechał..

Wstrząsła się panna Róża.

— Dajcie mi się namyslić... Ale czyż nas ze wszystkiego obedną?

— Prezes widział się i chciał zobaczyć tego człowieka, powtórzył mi jego wyrazy.. Ostrzega się, że do ostatniej zabierze koszuli..

— Widział go!... gdzie?

W miasteczku... z kąd przybył do mnie... ale już tu dojechać nie miał siły.

Machinalnie przeżegnała się panna Róża, spojrzała na Zadarnowicza, który zaledwie miał czas w drugiej izdebce buty włożyć na rękawy. skinęła.

— Chodźmy

— Czy mógł być w czym pomocny? spytał Porowski.

— Chciej pan przyjmować to co z pałacu przysłemy. dopóki wazy nie nadejdą ..

Kapitan stał sam, cichemi krokami energiczna panna Róża odszła z rządcą, we dworze panowała ci-

sza i spokój, jak gdyby nic się nie stało nadzwyczajnego. Tylko nocnych stróżów grzechotki około zabudowań gospodarskich odzywały się chwilami... i wczesnie pobudzone piałły koguty... Wkrótce potem ruch dał się słyszeć w stajniach pobliskich i szepty... Wytaczano wozy, głucho stąpanie koni przerwało ciszę.

Ze dworu nie było jeszcze nic... Porowski po otwieraniu okien, lękając się dnia, który wkrótce miał się ukazać. Jakże równie wschodził on przed niedawnym czasem nad tym samym dworem, po owej pamiętnej nocy tańców i muzyki!... Po dosyć długiem oczekiwaniu wszedł zaspany kasyer z książką pod ręką i małym zwitkiem...

Kazano mi złożyć kasę — rzekł ale w kasie nie ma tak jak nie... Tylko cośmy młodego hrabiego wyprowadzili, wyczerpało się do grosza... Hrabina kazała naprzód raty od a...ndarzy posiągać, na welnę wiosenną wzięliśmy za datkę. słowem musieliśmy szukać grosza, aby na bieżące potrzeby wystarczyć... Niech Pan kapitan zajrzy w książkę kasową, mam kilkaset złotych za ledwie, i to weszło przypadkiem z zaległych czynszów i budników.

To mówiąc, włożył na stole papiery i czekał...

— Jeśli pan, nie we dworze wiesz u kogoby mogły być pieniądze skarbowe, bądź tak dobry natychmiast je ściągnij.

— Cóż to się stało? proszę kapitan! zapytał kasyer—wojna? T...cy?

— Coś naksz...łt tego, ratuj pan co możesz — dodał kapitan.

— Ale u nas wszędzie pustki? — odparł kasyer, myślny pół roku p...sy nie brali.

— Zrób co można...

Młody chłopak popatrzał, ruszył ramionami i stanął z boku.

W tejże chwili wnosić zaczęto srebra, które w niedostatku innego sposobu pakowania zrzucano w dywany zdjęte z posadzek w pokojach. Ludzie przerażeni, zdziwieni, nie rozumiejący nic, chodzili jak błądni.

*

*

*

Sypialny pokój hrabiny Julii, jak wszystko co na jej osobisty przeznaczono było użytek, odznaczał się wytwornością i wdziękiem niepospolitym. .

Okna jego wychodziły na ogród, a z jednego z nich przez wyciętą perspektywę widzieć było część najpiękniejszą parku ze stawem i młynem, który był kopią z jakiegoś holenderskiego krajobrazu. Na noc okna te zapuszczały się grubemi gobelinowemi frankami, do których podobne porzwery, okrywały także dwoje drzwi... Ściany pociągnięte niebieską welnianą materią, z wierzchu muslinem przezroczystym były udrapowane... Wszystko aż do stropu na kształt namiotu, okrywały musliny.. podłogę dywan wschodni. Komin z białego marmuru, sprowadzony niegdyś z Włoch, był arcydziełem nieznanego arty-

sty, który go splótl z aniołków, owoców i kwiatów... Paryzkie brzozy harmonizowały smakiem odrodzenia z marmurowemi okładzinami jego... Zwierciadło w białych ramach z saskiej porcelany. wieńcami niezapominajek i róż ozdobnych... godziło się również zresztą ornamentacyi... a przy łóżku obwieszonem draperyami niebieskimi staroświecka komódka służyła za stolik... Z drgiej strony nad rzeźbionym klęcznikiem n ściany, pełnym książek w okładkach z kości słoniowej i srebra — wisiał obraz N. Panny starej szkoły włoskiej przypominający Francję (Francesco) — a przed nim dzień i noc paliła się lampka i codziennie odświeżane stawiono bukiety kwiatów. W ten miły spokojny zakątek w którym serce macierzyńskiej miłości pełne marzyło o synu i modliło się za niego, zdało się, że nigdy burza zajrzeć nie była powinna, że je los musiał poszanować... Tu spływały ostatnie dni życia kobiety dobrej, miłosiernej, której cała przeszłość była czysta i piękna. Było to gniazdo jej ostatnie, w którym się spodziewała na ręk syna, pobożnego. niewinnego dokonać żywota... Jeżeli zgrzeszyła kiedy hrabina Julia, to chyba zbytnią łagodnością i ślepotą, wiarą w ludzi i nfnoscią w to, że los dla niej zgotowany nigdy się zmienić nie może. Czła się jedną z istot uprzywilejowanych, ubóstwianych, wybranych do szczęścia.

Celem jej teraz było wychować syna... zapewnić mu świetną przyszłość, a temu co ją otaczało dać ze swojego szczęścia udział jak największy... Marzyła tylko o tem, aby dobrodziejstwem serca przywiązać do siebie, a chmurna twarz niepokoila ją póty, póki nie potrafiła jej wypogodzić.

Korzystano nieraz zbytńio z tego usposobienia hrabiny—a jeśli się trafiło, że się przekonała o tem, co się rzadko zdarzało, uśmiechała się tylko woląc być oszukaną, niż za mało dobroczynną. Kochali też ją wszyscy we dworze, i źli ludzie wytrwać tu długo nie mogli. Pochlebców jak profesor było wielu, ale i ci powoli nie tracąc charakteru, stawali się znośni, w atmosferze hrabiny zmuszeni ją naśladować. Intrzygi się nie wiodły... spokój panował w Samoborach...

Panna Róża od bardzo dawna była przy hrabini—stała się jej ulubienicą, niemal przybranem dziećciem.... i choć może nie zapominała o sobie, kochała też swą panią, której nie można było nie kochać...

Na tę ulubienicę spadł teraz najcięższy obowiązek, najstraszniejsze posłannictwo złamania jej życia—przyniesienia wyroku, który się równał śmierci. Panna Róża płakała i modliła się, łamała ręce, chodzila długo z przestachem patrząc na posuwające się igły zegara—naostatek zmuszona była, choć co chwila cofając się—dojść do sypialni pani.

Wprawdzie nieraz się trafiało, że troskliwa o jej zdrowie, zwłaszcza jeśli ją z wieczoru widziała poruszoną, panna Róża wsuwała się w nocy do sypialni zobaczyć, jak hrabina odpoczywa — ale teraz... serce jej było okrutnie...

Przez okna pokoju poprzedzającego gabinet, wchodził już szary brzask świtającego poranka. Panna Róża brała po kilkakrotnie za klamkę i nie miała siły otworzyć drzwi — weszła wreszcie po cichu, na palcach.

Pokój był lekko oświecony bladem światelkiem

lampki przed obrazem Matki Bożkiej płonącej w liliowym kubku; zastępowała ona *veilleuse*. Drzwi nie skrzypnęły, hrabina się nie przebudziła — spała oparta na ręku i we śnie była piękna, bo spokój i uśmiech łagodny opromieniały jej twarz. Panna Róża stanęła nie śmiejąc przerywać tego spoczynku... Zdało się to okrucieństwem. Lecz nie byłoż większem daleko nie ozuajmić jej o nadchodzącem niebezpieczeństwie?

Na stolicku przy łóżku obok zgaszonej lampy. leżała książka od nabożeństwa i ametystowy różaniec przywieziony z Rzymu... Snadź do ostatniej chwili modliła się za syna pomyślność... bo książka była odwrócona jakby nazajutrz miała dokończyć modły poczęte. Panna Róża płacząc usiadła przy łóżku na niskim taborecie...

Westchnienie dobyło się z piersi śpiącej. oczy jej na dół się otworzyły, i poznawszy snadź Różę, wyciągnęła do niej piękną rączkę białą, którą ta całować zaczęła płacząc. Łez kilka spadłych na nią rozbudziły hrabinę, podniosła głowę, i otworzywszy całkiem powieki. patrzyła na nią zdziwiona.

— Ale idźże spać moje dziecko — nie troszcz się o mnie... Nic mi nie jest... Śnił mi się Zdzisłój mój kochany... uśmiechał się do mnie... Gdzie on teraz? pewnie jedzie i wypoczynku uciec nie będzie wygodnego... Idź spać.

— Nie mogę, droga pani — mnie ten chory prezes nie może wyjść z myśli. Coś mu takiego było... nie-naturalnego...

— A! prawda. dobrze, żeś mi przypomniała... trzeba jutro posłać się dowiedzieć — szepnęła hrabina... Dobranoc ci — tak mi się oczy kleją...

Róża pomilczała chwilę, nie ruszając się z miejsca...

— Nie chciałam pani niepokoić, dodała po cichu— ale ja się czegoś dowiedziałam o prezesie, czego dobrze nie rozumiem...

— A! czyby tak źle z nim było! podnosząc się i ręce białe składając—poczęła hrabina...

— Mówią — ale może ja to niepotrzebnie pani mojej powtarzam—ciągnęła dalej Róża—mówią, że, prezes odebrał jakąś złą wiadomość z Petersburga. i to go tak bardzo zgryzło... ale tak...

— Prezes żadnych nie ma spraw... to muszą być bajki—spokojnie odpowiedziała hrabina...

— Właśnie mnie to dla tego przeraziło i niepokoi, że—że musiałam — może się to broń Boże nas tycze... pani wie. tej sprawy...

Oczy hrabiny błysnęły nagle. wlepiła je w Różę milcząc, pochyliła się, postrzegła lzy, poznała twarz zmienioną, i rzuciła się nagle jakby z łóżka skoczyć chciała... porywając za rękę Różę.

— Wiesz coś? mów! zawołała — na Boga cię zaklinam, nie taj przedemną...

Panna Paklewska ze stołeczka. na którym siedziała, padła twarzą na nogi pani swej. i płacząc całować je zaczęła...

Hrabina drżała przez chwilę, i wstrząsała się, nie śmiejąc już pytać...

— Dziecko moje—wody szklankę...

Panna Róża pobiegła podać wodę, hrabina przyłożyła do ust napój, zwilżyła je ledwie i odepchnęła.

— Ty wiesz coś — mów — prezes? gdzie jest prezes?... tyś przyszła tu nie bez przyczyny... mów, proszę... Zdzisiowi co groził! Ja jadę natychmiast sama do stolicy...

— Niech się pani uspokoi — może to nie jest tak groźne jak prezes sądzi, ale mówi że... proces przegrany...

Hrabina upadła na poduszki bledniejąc jak trup — Róża porwała flakon, aby obetrzeć skronie. Zerwała się żywo...

— To nie może być! krzyknęła — Pan Bógby nie mógł zgubić Zdzisia!... Pan Bógby mnie ukarał, jeśli kary trzeba było domierzyć... ja mu się ofiarowałam za niego... Kto ci mówił o prezesie? kto mówił o przegranej? Myszki nie mogli przegrać...

— Pani droga — niech się pani uspokoi. potrzebujemy siły, mocy ducha — przytomności dla Zdzisia!... Prezes przysłał właśnie, ażeby ratować co można. bo jutro zjedzie Samoborski ten i zabiera...

Hrabina z krzykiem bolesnym zemdlała... Drugimi drzwiami wbiegła na ten głos służa — poczęła ją trzeźwić... Otworzyła oczy i i jęczeć zaczęła... Potem odepchnąwszy Różę, z łóżka wprost rzuciła się na klęcznik i z załamaniem dłońmi modliła się jęcząc... Nie śmiano jej przerzerywać...

Tymczasem dzień się robił coraz jaśniejszy... we dworze niezwykły ruch słyszać było.

— Zaklinam panią — przypadając do jej nóg poczęła Róża, niech się pani uspokoi, ubierze i rozkazuje... Prezes wszystko co jest droższego polecił wywozić do Wólki... ja głowę tracę...

Hrabina sięgnęła ręką po kluczyki i rzuciła je płacząc na ziemię... hamowany jęk dobył się z jej piersi, i razem z nim śmiech serdeczny, który prze-raził kobiety...

Było w nim coś obłąkanego, przejmującego. dzi-
kiego, a towarzyszyły mu ruchy konwulsyjne, rzuca-
nia się, tak, że silne dwie kobiety tej słabej istoty
utrzymać nie mogły. Zdawała się nie słyszeć co do
niej mówiono, łkania i śmiechy głośne wybuchały
z piersi na przemiany.

Róża skinęła na służącą: „Po doktora!“ Wido-
cznie się już tu bez niego obejść nie było podobna...
Z trudnością złożyły ją na łóżku, na które padłszy. to
bezwładna leżała, to się zrywała śmiejąc i jęcząc.
Związanie ręki i zwykłe lekarstwa kobiece, najmniej-
szego nie czyniły skutku. Wyrazy, które się z jej ust
wyrывały—były niezrozumiałe, stan ten nie dozwalał
na chwilę opuścić jej, a co chwila do drzwi pukano,
wywołać chcąc pannę Różę...

Spuściwszy na Opatrzność wszystko... musiała
przy hrabinie pozostać. Co się działo z ratowaniem
mienia myśleć nie było podobna — wysłała służącą
oznajmując, że odejść nie może...

W istocie nie było już co czynić, bo nim wozy
ruszyły od folwarku z pozbieranemi cenniejszemi rze-
czami, nadjechał urzędnik z miasteczka z poleceniem
dozorowania, aby nic nie tknięto z pałacu i zabudo-
wań jego. Wozy wstrzymane zostały.

Kapitan napróżno uciekał się do rozmaitych
środków, ażeby choć to co stało gotowe uratować,
zbyt wielu było świadków, sprawa zbyt jawna, ażeby
się co zrobić dało... Opieczętowano rzeczy natych-

miast. Tak wszystkie zabiegi prezesa w niwecz obrócone zostały. Porowski nie miał tu co robić, w milczeniu konia kazał sobie podać i pojechał..

Dzień był jasny gdy przed Wólką stanął. W oknie otwartem siedziała Stasia i wybiegła naprzeciw niego.. patrząc mu w oczy... Smutnem wejrzeniem przywitał ją ojciec ściskając...

— Nie mogłem uratować nic—rzekł. już areszt położono... wozy nie były gotowe, spóźniono się o minut kilkanaście—lecz oprócz sreber nic pozostało do ratowania nie było... Biedni ludzie...

Wchodzili do sieni, gdy z przyległego pokoju, w którym prezes spał, głos się dał słyszeć... wołający kapitana.

Porowski pośpieszył milczący.

— Zrobiłem co było można — ale ostatecznie bez żadnego skutku—urzędnik przybyły areszt położył.

— Jakto? dziś? już! krzyknął prezes... a hrabina?...

-- Posłano po doktora...

Milczenie długie nastąpiło po tych kilku słowach.

— Spełni się straszny sąd boży—zawołał prezes — bądź co bądź, ja tam być powinienem, choćby przyszło życie poświęcić. Może nadjechać to bydło.. Kto wie, czego się ludzie w rozpacz dopuścić gotowi... muszę tam być...

— W istocie—odparł kapitan, — wnosząc z tego co widziałem i com słyszał, nie zupełnie jeszcze spokojny... Zadarnowicz chodzi jak wściekły i odgraża się, dworscy powiadają, że nic tknąć nie dadzą... służba folwarczna rozbiegła się pó wsiach... o nieszczęście

nie trudno, a to położenie pogorszyć może... Jedźmy razem...

Kazano zaprzęgać konie — Stasia kręciła się zapłakana, nie śmiejąc prosić, aby ojciec ją wziął z sobą. Zdawało się jej, że i ona się tam na coś przydać mogła... Na pierwsze poszepnięcie o tem, kapitan odmówił stanowczo.

— Nie chcę, żebyś tam była... rozplączesz się a pomódz nie będziesz zdolną. Masz co innego do czynienia! przygotuj w domu wszystko. być bardzo może, iż hrabina tu się schronić będzie musiała... Nie widzę innego domu... Do prezesa za daleko i kobiety tam żadnej nie ma; na wielką przyjaźń Mangoldów nie rachować nie można...

Potrząsnął głową kapitan.

— My spełnimy swój obowiązek...

Stasia pocałowała go w rękę. W tej chwili nie było to już trzpiotowate dziecię wesole, ale poważna niewiasta. którą pierwszy ból w życiu zastał przygotowaną.

Powóz w którym prezes i kapitan odjeżdżali, przeprowadziwszy wzrokiem poszła się krzątać około domu. Najlepszy, najmiłszy, swój własny pokój postanowiła odstąpić hrabinie. Nad gankiem była smutna izdebka gościenna o jednym oknie, którą dla siebie wyznaczyła...

Przybywający prezes znalazł jeszcze dwór tak prawie jak go kapitan zostawił. Około folwarku tylko stała spora ludzi gromada, otaczając izbę, w której urzędnik odpoczywał. Z posępniemi twarzami chodzili dworscy szepcząc i naradzając się. Ze wsi ściekami

i miedzami płynęli ciągle ludzie do dworu. Wieść o nieszczęściu hrabiny, o jej chorobie piorunem się rozszła... Ciekawość i oburzenie na to co wedle pojęć ich zdawało się niesprawiedliwością—ściągały wszystkich, a szczególnie tych, którym dwór nieraz świadczył...

Po wszystkich kątach, we drzwiach, po sieniach stały rozmawiając cicho kupki wieśniaków i dworskich ludzi, naradzając się. Zobaczywszy prezesa, niektórzy ze starszyszy poczęli się zbliżać do niego.

Stary gumieny pierwszy go zagadnął.

— Czy to my mamy dać naszych starych panów wypędzić jakiejś hołocie? — zawołał stłumionym głosem.

— Bardzo to pięknie dla panów i dla was, że im miłości dowodzicie — odezwał się Mohyla—ale gdybyście chcieli sprawę ich pogorszyć, nie ma lepszego sposobu, tylko się do niej wnieszać. Przeciwno prawu nie można nic. Co się da zrobić—zrobimy... Hrabinę osobście my obronimy i urząd, a wy rozejdźcie się, to będzie najlepiej.

Nie odrazn trafiło to do przekonania gumienego i dworaków, ale w końcu zrozumieli, iż oprócz łez nie pani swej dać nie mogą.. W godzinę nadjechał urzędnik, z którym prezes mówił w miasteczku, że łzami w oczach zaprzysięgając, iż czynił co mógł, aby powstrzymać wysłanie na miejsce, ale stary garbus, zamiarkowawszy co się święci, wymógł prośbę i groźbę, że nadzór na grunt wyprawiono.

Razem z nim przybył lekarz z miasteczka, którego natychmiast do hrabiny zaprowadzono. Stan jej wcale się był nie zmienił, leżała jęcząc i smiejąc się—

w nerwowych paroksyzmach, których nie powstrzymać nie mogło. Dwie służące napróżno starały się ją od gwałtowności powściągnąć. Zrywała się jakby biedz chciała... to opadała bezsilna i omdlała... Na nieszczęście i medycyna w takich wypadkach nie wiele ma do czynienia. Lekarz mógł tylko pokierować troskliwym ratunkiem... Uspakajających jego wyrazów hrabina nie zdawała się rozumieć... równie jak zakłęk panny Róży... która na chwilę od łóżka nie odstępowała.

Gdy lekarz przepisałwszy co mógł, wyszedł z wyrazem znużenia na twarzy do przyległej sali — prezes, który tam siedział, zapytał go o stan chorej.

— Nie umiem panu odpowiedzieć—rzekł z uczuciem stary przyjaciel domu — takie ciosy czasem zabijają, niekiedy w błogosławiony sposób pamięć i przytomność zabiorą na wieki... Im wrażliwsza natura, tem straszniejsze skutki.

Z bocznego pokoju przez drzwi jęk i śmiech dawały się słyszeć chwilami... Około godziny dziesiątej dzwonki na gościńcu dały znać o nadjeżdżających urzędnikach i panu Sebastyanie.

Garbus jechał wielkim wozem węgierskim, wysłanym wygodnie do podróży — i z dala dostrzedz go było można rozglądającego się po pięknej okolicy z uśmiechem zwyciężkim. Na koźle siedział z kozacka ubrany chłopak, obok woźnicy niemal tak odzianego, jak sam pan w świcie, pasie i baranej czapce wysokiej... Ręką wskazał garbus, aby zajechali pod ganek pałacowy.

Z dziedzińca zakątków ludzie się zbiegli oglądać przybysza, wskazując go sobie palcami. W ganku stał prezes, doktor i kapitał—po za nimi oficjaliści z gro-

żnemi twarzami. Z dała na folwarku szumiał tłum, który się rozejść nie chciał.

Widok garbusa, jego stroju i twarzy uczynił wrażenie dziwne. Podobnego Samoborskiego nikt się spodziewać nie mógł. Doktor czekający nie nadaremnie w ganku, nie zwracając się ku garbusowi, przystąpił do najstarszego z urzędników, z którym był dobrze znajomy.

— Nie spodziewam się — rzekł głosem podniesionym, abyście panowie przybyli dobijać kobietę niebezpiecznie chorą. Mam honor oświadczyć jako lekarz, iż najmniejsze targnięcie się w tej chwili na spokój, którego jej stan wymaga, zagraża jej śmiercią. Mogę to na piśmie poświadczyć.

Garbaty odwrócił się patrząc z uwagą na doktora.

— Ja do waszej hrabiny nie mam nic — niech żyje, czy umiera, wszystko mi to jedno; majątek do mnie należy i ten zajmuję... obcych w nim ludzi nie ścierpię. Jeśli chora, to wywieźcie, czy wynieście...

To mówiąc miał wchodzić do pałacu, gdy urzędnik go wstrzymał.

— Przepraszam pana — rzekł — ależ nigdy i nigdzie w świecie tak się nie postępuje: każdemu się daje czas do wyprowadzenia.

— Jakto? nawet rozbójnikowi? — śmiejąc się zawołał garbus... — nawet rabusiowi, co ci zabrał i kilkadziesiąt lat trzymał ojcowiznę, usadowił się w niej, rozplodził?... Chal chal Ja go mam za to z wielkim uszanowaniem prosić, ażeby mi raczył ustąpić!

— Kobieta! na miłość Boga! — zawołał doktor stając naprzeciw pana Sebastjana.

— Ja nie jestem z tych ludzi, co delikatne kobiety szanują i robią z nich lalki... nie — rzekł garbaty — kobieta u mnie pracuje ze mną, cierpi ze mną i nie ma większych praw dlatego, żeśmy ją słabą zrobili.

Dajcież mi z waszemi moralami święty pokój! — dodał gwałtowniej. — Jam tu nie przybył się rozczulać, romansować i lzy lać nad nieszczęśliwymi ale pomsty szukać nad winnymi i odzyskać co mi zabrano...

I ominąwszy doktora i urzędnika, którzy stali zmieszani, śmiało wszedł do pałacu rozglądając się dokoła. Przytomni: prezes, doktor, kapitan, urzędnicy popatrzali na siebie, a w końcu poszli za nim zwolna. Jeśli będzie śmiał wejść do pokoju hrabiny, mruknął kapitan, to go za gardło schwyce i cisnę o ścianę...

Ogromna wspaniała sień najprzód zwróciła uwagę garbusa... podniósł głowę do sufitu... i cmokał: — Pfu! Pfu! co to za browar będzie!! Otworzył drzwi przypatrując się kryształowej klance, i wszedł do wielkiej sali. W pustym gmachu stąpanie jego i odgłos chodu rozlegał się hałasliwie... Spojrzał na obrazy, na kandelabry, dotknął ręką obicia na krzesłach, mruczając coś sam do siebie pod nosem. Drzwi otwarte na obie strony ku sali jadalnej z portretami i do mniejszego saloniku poprzedzającego gabinet hrabiny, zmusiły go wstrzymać się i rozmyślać w jakim pójdzie kierunku.

Zwrócił się po namyśle w lewo do jadalni, i z ciekawością, której obronić się nie mógł, stanął przyglądać się portretom familijnym... Twarz mu się na-

marszczyła, jakby w duchu rozmawiał z niemi i czynił im wyrzuty... Portret brata i hrabiny, w całym blasku piękności dwudziestoletniej ściągnął jego uwagę, zatrzymał się przed niemi dłużej, a potem spojrzał na siebie i swoją siermięgę. Uśmiech wykrzywił mu usta. Zdjęte na prędcie z bufetu srebra, których nie zdążono wynieść, leżały tu razem z ogromnym kobiercem, w który je na prędcie zrzucono. Stos półmisków-waz, lichtarzy walał się tak, powywracaniem świecąc bokami... Garbus schylił się i podjął lichtarz, przypatrując mu się jak chciał rozpoznać, czy istotnie był srebrny... zobaczył cechę i rzucił go nazad do kupy. Drzwi dalsze były pozamykane. tedy przez korytarz przejście było do kuchni, izb służby, pomieszkania panny Róży i pokoiów gościnnych.

Palcem wskazał sprzęt srebrny urzędnikowi.

— Możecie panowie spisywać..

— To są srebra hrabiny — stłumionym głosem zawołał prezes gniewnie.

— Co tu jest, to moje — odparł garbaty — a hrabina się niech upomni i procesuje, jak ja procesowałem! Szpilki nie dam wziąć z domu!

To mówiąc poszedł nazad przez wielką salę do mniejszej ubranej obrazami.. z której wprost było wnijsć do pięknego gabinetu porcelan hrabiny, a z niego przez niewielki pokój do sypialni... Wszędzie wszedłszy stawał oglądając się ciekawie, macał portyery i firanki, schylał się przypatrując dywanom. W gabinecie mnóstwo pięknych cacek, kosztownych drobnostek, niezwykle wdzięk tego pokoju z takim urządzonem smakiem, zdawał się na nim czynić jakieś wrażenie... Ale wzgarda, obrzydzenie, szyder-

stwo wystąpiły mu na twarz. ręce włożywszy w kieszenie stanął z ustami zacisniętymi patrząc długo, starając się niby zrozumieć znaczenie tej poezji życia, której nigdy nie kosztował. Na półce stały kosztownie malowane naczynka z serwskiej porcelany i saskiej. Jedną z nich z wizerunkiem pięknej kobiety schwycił w grube palce... zbliżka się jej zaczął przypatrywać i puścił na ziemię... Rozbiła się w drobne kawałki, które nogą w kąt podrzucił... Wszyscy za nim idący byli oburzeni i na twarzach ich gniew a rozdrażnienie stawało się coraz widoczniejsze. Jakby je odgadł garbus; z nśmiechem począł się im wyzywająco przypatrywać.

— Nie powinienes pan sobie przynajmniej szkody czynić — rzekł szydersko doktor — wszak ci to pieniądze!

— Wielkie pieniądze!! — rozśmiał się garbaty...

— Zawsze kilkanaście jeśli nie więcej dukatów — rzekł jeden z urzędników.

— Ta łupina? — śmiejąc się odparł garbaty i splunął na dywan, zacierając ślinę nogą ubłoconą ..

Na straży drzwi wiodących do pokoju chorej doktor stanął zawczasu z kapitanem. Ztąd już słaby krzyk jej chwilami słychać było. przejmujący najobojętniejszych. Garbaty chwilę mu się przysłuchiwał z obojętnością może umyślną, nie dając poznać po sobie najmniejszego uczucia. Nie próbował wszakże iść dalej i w gabinecie wskazał krzesła urzędnikom, zapraszając ich siedzieć. Żaden jednak z tych panów nie przyjął wezwania.

— Pójdziemy gdzie do spokojniejszego kąta — zawolał starszy z nich. — Wolno panu, coś hrabiny nie

znał i nerwy masz żelazne, siedzieć tu kiedy się podobą, ale jabym tu wytrwać nie mógł — ja mam żonę i dzieci.

Garbus głową pokiwał.

— Ja mam też i żonę i dzieci, wilk też ma żonę i dzieci, a owce bierze na plecy od jagnięcia lub z jagnięciem dla swoich. Co pan chcesz? to prawo świata... popatrz pan tylko: żyjemy zabójstwami i karnimy się rozbojem... My na to nie poradzimy... Jak mnie kto zmoże i zje — na zdrowie; a gdy ja mam siłę, miałbym robić ceremonie? byłbym głupi!

Rozśmiał się głośno. Nikt mu nie odpowiadał, poodwracali się wszyscy — milczenie panowało w pokoju.

— Obrzydliwe stworzenie! — mruknął kapitan... odchodząc na bok...

Chociaż urzędnicy pousuwali się na próg gabinetu, garbus w swej sukmanie i bntach zbłoconych zasiadł w fotelu u stolika, na którym stał jeszcze ów cały przyrząd wymyślnych sprządek, flakouów, lampek, kadzielnic hrabiny — otwierał flaszki, wachał, rzucił je na stół rozlewając co w nich było.. słowem gospodarzył z przemyślną złośliwością, zostawując po każdym dotknięciu swem ślady... Widocznie napał się tą chwilą brzydkiej, dzikiej jakiejs zemsty, która dla niego była niedostate. znał, bo się znęcał nad rzeczami nie nad ludźmi

Panna Róża, która wyszła była po coś z pokoju chorej, osłupiała tym widokiem niespodzianym, stanęła w progu. patrzała i oczu od poczwary tej oderwać nie mogła. Zapomnieliśmy dodać, że p. Sebastyan w czapce baraniej, nie zdejmując jej, wszedł na pokoje;

twarz jego, ubiór, mina przypominały dobrze paryżką tuluszczę, na pokojach Maryi Antuanetty. Dojrzał garbus postaci tej kobiecej i zmierzył ją oczyma: domyślił się snadź kogoś ze dworu hrabiny, po pęku kłuców może, które roztargniona Róża w ręku trzymała.

— Mościa pani, czy mościa panno—odezwał się nie wstając: każcie tam dać tym panom i mnie śniadanie. Dla mnie słoniny kawałek i cebuli, ja do nich przywykłem.

Panna Róża stała nieruchoma.

— Czy panna nie słyszysz? powtórzył.

— Jeśli do mnie waćpan mówisz — odparła z gniewem p. Paklewska — to mu tylko odpowiem, że nie jego sługa. I odwróciła się dumnie.

Na stoliku stał dzwonek, garbus dzwonić zaczął z siły. Doktor drzwi przymknął od pokoju, który prowadził do hrabiny... Dźwięk dzwonka rozlegał się po salach, ale nikt nie przychodził. W ostatku kamerdyner z flegmą przybył zobaczyć kto dzwoni. Był to mężczyzna w podeszłym wieku i poważnej postawy. Przekonawszy się, że dzwonek był w ręku p. Sebastjana, nie mówiąc począł się cofać.

— Cóż to jest? nie słyszycie, że dzwonię? zawołał garbus.

— A cóż to nas ma obchodzić! odparł kamerdyner, że waćpan dzwonisz... Wszak tu nikt z nas mu nie służy...

Garbus zamilkł.

— Ja też próżniaków i darmożjadów nie potrzebuję — krzyknął wstając... Znać było, że się namyslał co począć. Ruszył się z gabinetu prowadząc urzędników za sobą; doktor, kapitan i prezes pozostali

w gabinecie. Wiedzieli oni, że usługi garbus nie znajdzie żadnej, bo wszyscy do kuchty i parobka zmówili się służbę porzucić. Milczący pozajmowali miejsca na straży u wnijsia do pokoju chorej, lękając się, aby dziki człowiek i tam nie wtargnął. Doktor po chwili poszedł na palcach przekonać się o stanie hrabiny, pozostał czas jakiś w sypialni i wrócił z twarzą posępną. Spojrzeli nań badającym wzrokiem prezes i kapitan.

— Lepiej? szepnął Mohyla.

— Wcale nie—rzekł doktor cicho—lękam się o umysł—wątpię czy to wstrząśnienie, zbyt niespodziane i gwałtowne, na zawsze po sobie śladów nie zostawi. Dotąd przynajmniej hrabina nie odzyskała wcale przytomności.

— Kto wie, czyby to dla niej nie było miłosierdziem bożem!—rzekł kapitan...

Doktor ruszył ramionami, prezes ręce trzymając załamane nieruchomo siedział.

— Panowie moi, odezwał się — jesteście wszyscy przyjaciółmi tego domu: proszę was o radę. Hrabia Zdzisław nie wiedząc o niczem jedzie z Wilemskim do Berlina.. Należałoby go zwrócić z drogi, wszystkie warunki się zmieniły. To co ma z sobą, dziś może cały jego fundusz stanowić; potrzeba go wezwać do powrotu i myśleć inaczej o przyszłości. Sędzę, że to obowiązek... Sam stan hrabiny nakazuje to... żal mi biedaka, ale na to nie ma ratunku...

— Nie ulega wątpliwości—potwierdził doktor: trzeba posłać za nim i zawrócić co rychlej, niech się uczy o sobie myśleć.

— Tak jest—dodał kapitan...

— Na jakąkolwiek łagodność i wyrozumiałość ze strony tego... gburą, kończył prezes, liczyć niepodobna...

Chciał wstać, kapitan podał mu rękę, wyszli razem. W gmachu stał jeszcze garbus z urzędnikami. Wściekły, zaczerwieniony i gniewny, stukając kijem w posadzkę.

Urzędnicy udając wielką powagę. mieli uśmiech na ustach—w istocie było trochę zabawnie widzieć nowego pana Samoborów opuszczonego od sług i posługującego się owym kozaczkim. którego przywiózł z sobą i z którym rady sobie dać nie mógł. Chłopaka bowiem popychano wszędzie, nie odpowiadając mu; nie dostać, z nikim się rozmówić nie mógł. Przyłatywał co chwila się skarżyć, dostawał połajanie i przekleństwo, i biegł znowu na to, by się z niego ludzie wyśmiewali. Garbus chodził po ganku rozmyślając, jak sobie poradzi, kłął po rusińsku i głową trząsał.

— Panowie, jesteście urzędnicy, macie prawo rozkazywać, każcie sobie nslużyć... ja mnszę czekać aż służbę sobie złożę... zawołał garbus. Za pieniądze przecie znajdę gdzie ludzi. a potem im pokażę, jak się zdejmują rachunki z koszulą razem z grzbietów... Ja mam cierpliwość—a no! a no!

Zaciął usta i siadł na ławie w ganku... widocznie zemsta w nim wzbierała jeszcze mocniej. Kapitan chciał namówić którego z lokajów. ażeby go posłuchał, ale żaden z nich gorszym od innych okazać się nie chciał — nie poszedł żaden. Garbus z wozu kazał sobie przynieść chleba, ze spiżarni słoninę, z ogrodu cebulę i śniadał na ławie.

Wcześniej dniem przed odjazdem hr. Zdzisława, Żabicki wyruszył z Samoborów, parę dni mając się zatrzymać w miasteczku u znajomych. Tu go doszła wieść o nagłej katastrofie, jakiej uległa nieszczęśliwa rodzina; bez namysłu więc powrócił natychmiast nazad, stawiając się z ofiarą posługi, jakiejby od niego potrzebować mogli... Z razu w tem zamieszaniu nikt na niego uwagi nie zwrócił, aż kapitan podał myśl, ażeby go i tak wybierającego się do Warszawy, prosić o przyspieszenie odjazdu i o widzenie się tam ze Zdzisławem, mającym się kilka dni zatrzymać dla wypoczynku; taki był przynajmniej program podróży. Żabicki podjął się chętnie tego smutnego posłannictwa, zgadzało się ono lepiej z jego charakterem, niż zwiastowanie dobrej nowiny. Dosyć zawsze surowo obchodził się ze swym uczniem, lecz tam gdzie cierpienie istotne i boleść ludzką uczuł, umiał je poszanować i łagodnie obchodzić się z niemi. Miał dosyć męstwa i energii, by w potrzebie natchnąć niemi — i osłabłego, rozpieszczonego jedynaka pokrzepić przykładem i słowem.

Prezes dał mu list do Zdzisława, w kilku słowach zawarty i łzami bezsilnemi oblany.

Nazajutrz Żabicki wziął pocztę i poleciał w poгон.

Tymczasem w Samoborach gospodarował p. Sebastyn i urzędnicy użyci przez niego do robienia inventarzy. Pokój sypialny hrabiny i przytykające doń dwa boczne, wyłączono od opisów i zostawiono w takim stanie jak były. Garbus jednak oświadczył, że długo tego cierpieć nie może, i że hrabinę muszą so-

bie wywieźć gdzie im się podoba, jak tylko z łóżka się podniesie.

Cały dom zresztą wyglądał już jak ruina: sprzęty pozostawiano na knypy, do najdrobniejszej fraszki. oprócz rzeczy, które się udało pannie Róży pochwycić i pochować do oddzielnych pokoiów: — poznoszono wszystko pod klucz i pieczęcie. Dywany z podłóg, zwierciadła i obrazy ze ścian, firanki i portyery, garbns pobierać kazał. Sale spustoszone, ogromniejsze — mi się jeszcze wydawały niż przedtem, a nowy pan przechadzał się po nich, z uciechą patrząc na zniszczenie.

— Kamienia na kamieniu nie zostawię, — mówił do urzędników — niechaj niepocziwe gniazdo w proch i gruz się obróci. Chciałem browar zrobić z pałacu... nie! zrzucę go! zrznęę, zbiję, obalę... Ogród zaorać każę, drzewa wyciąć w pień.

Lepiejbyś pan uczynił sprzedając — wtrącił jeden z urzędników: tak pan sam sobie krzywdę wyrządzisz. .

— Gdybym znalazł Cygana, szuję, łotra... przybłądę, coby miał pieniądze, kto wie? Komu innemu nie sprzedam — mówił Samoborski. Chcę takiego, coby obrzydził i zniszczył.

Ledwie go powstrzymano od tego, by familijnych portretów natychmiast na kupę je zrzuciwszy nie spalił, tą uwagą, iż prawo jeszcze o własności ich rozstrzygać musi. Zdarte ze ścian, zrzucano na strych.

Z każdym dniem odchodzili ludzie ze służby, garbns sam kończył z nimi rachunki, przy żadnych nie obeszło się bez kłótni — gromadnie opustoszał Samobory. Mała garstka zostawała przy hrabinie, której

stan ciągle był jednakowy. Doktor wątpił bardzo, ażeby kiedy przytomność odzyskać mogła. Ustały tylko gwałtowniejsze objawy, a w ich miejsce przyszła symptomatami nerwowemi, wyciąganiem i krzykiem przerywana melancholia milcząca. Rachowano tylko na powrót Zdzisława, na widzenie się z nim. Panna Róża na zapytania nie odbierała odpowiedzi, odwracała się ku niej, patrzała, słuchała i nie mówiła słowa. Przez sen tylko wyrывały się z jej ust wyrazy niezrozumiałe, jakby skargi i modlitwy.

Wyobrazić sobie łatwo, jakie wrażenie wieść o wypadkach w Samoborach uczyniła na sąsiedztwie. Dom to był powszechnie szanowany, hrabinę kochali wszyscy dla jej dobroci i niewieściego wdzięku. Opowiadanie o obejściu się z Samoborskiemi tego dzikiego człowieka, który tak blizkim był ich krewnym, wywołało zgrozę i oburzenie. Nie było prawie człowieka, któryby słysząc o tem nie zarzekł się wszelkich stosunków z nowym sąsiadem i nie zaklinał, że go wcale znać, widzieć, zbliżać się doń nie będzie. Odgrążano się nawet zemstą. Nikt jednak oprócz prezesa i kapitana w pomoc i z ofiarą żadną nie przybył.

Mohyla nazajutrz jadąc na kilka godzin do domu, a mając około Jezioran przejeżdżać pod bramą. — wiedząc, że Mangold był w stosunkach z hrabiną, uznał za właściwe wstąpić na chwilę do barona, aby się przed nim uzalić nad losem nieszczęśliwej.

Jak zazwyczaj, musiał dosć długo czekać przed bramą, a potem w salonie, nim sztywny i wystrojony baron wyszedł do niego.

Tym razem bardziej jeszcze zimny i milczący był niż zwykle. Powitał prezesa nie mówiąc prawie słów.

wa i ruchem ręki wskazując mu tylko miejsce na kanapie.

— Wiesz pan już zapewne, panie baronie, jak okropne nieszczęście spotkało rodzinę hr. Samoborskich...

— A—tak—krótco odparł Mangold—głowę spuścił na piersi, ręce złożył, westchnął i zamilkł...

— Bóg widzi, że cierpię z nimi i za nich... bo serce się rozdziera patrzeć na to...

Mangold odetchnął, ramionami ruszył, rękami uderzył po poręczach fotelu i—milczał.

— Co najgorsza, że z dzikim, z Hotentotem mają do czynienia... ze zwierzęciem...

— Proszę! proszę! odezwał się baron... słyszałem—mówiono...

— Hrabina jakby obłąkana... dodał prezes.

— Jest czego! jest! mruknął Mangold...

— Pośleliśmy po Zdzisława...

Wiadomość ta nieco żywiej zdawała się obchodzić barona — spytał: — Kiedyż się go państwo spodziewacie?

— Nie wiem w tych dniach pewnie...

Mangold milczał znowu, w ogóle nie bywał rozmowny, teraz zdawał się lękać ust otworzyć.

— Pan baron może nam co poradzisz, może przez przyjaźń dla domu...

Jak oparzony porwał się z krzesła gospodarz nagle...

— Ja? ja? ale my natychmiast zmuszeni jesteśmy do Włoch wyjeżdżać—to od dawna było w projekcie... od dawna... bardzo mi żal—od dawna...

Prezes zamilkł, nie chcąc być natrętnym. Panna wcale do salonu nie wyszła. Mohyla po półgodzinnym pobycie pożegnał barona, który go odprowadził aż w ganek...

Tu już się mieli ostatecznie pożegnać, gdy baron coś sobie przypomniał.

— A! za pozwoleniem.. pan prezes nie słyszał? tu mówią, że Samobory pójdą na sprzedaż? może to być?

Oczka mu błyszczały jakimś życiem niezwykłym..

— Nic o tem nie wiem — odezwał się Mohyla; słyszę tylko, bo to ciągle powtarzał zbój — że kamienia na kamieniu nie zostawi...

— A — a — a... przecież ich w mózdzierzu nie potłucze? nie pokruszy? żywo dodał Mangold... Więc będą licytacye... na wszystko... Licytacye?

— Nic nie wiem — dokończył prezes, któremu nagle gorączka zimnego barona wydała się przykrą i dziwną.

Mangoldowie żadnego już więcej znaku życia nie dali... Mohyla dowiedział się, że istotnie w parę dni potem do włoch mieli wyruszyć.

Po wyjeździe Żabickiego — oczekiwano co chwila przybycia Zdzisława. Prezes, który w Samoborach nie mógł siedzieć, bo garbus wszystko pozamykał i kęta nikomu nie dał, a co dzień naglił o wywiezienie hrabiny — obrał sobie przytułek w Wólce, zkąd tylko wyjeżdżał do pałacu, by w pokoiku zostawionym chorej, gdzie się teraz i Panna Róża wypędzona ze swego mieszkania przeniosła, spędzić godzinę jaką na milczeniu, oczekiwaniu i narzekaniu, ponieważ co tylko się znalazło na gruncie, poszło pod sekwestr i roz-

porządzenie nowego pana. który niemal wody ze studni dla chorej żałował, przywożono z Wólki, od prezesa i innych sąsiadów co było potrzeba. O ile p. Sebastian (nazywali go włóścianie Se—bestya) okazywał się nieubłagany, o tyle sąsiedztwo prawdziwie po chrześcijańsku spieszyło z pomocą dla hrabiny, której stan powszechną litość obudzał. Doktor prawie nie wyjeżdżał z Samoborów... i nie odchodził od łóżka hrabiny. Prezes liczył dni do powrotu Zdzisława, pragnął go i lękał się razem.

Żabicki pocztą dzień i noc pospieszał do Warszawy. ażeby tam jeszcze zastać hrabiego. Zmęczony i złamany, przybył wreszcie i prawie nie wypoczywając. musiał rozpocząć pielgrzymkę po hotelach. dla wyszukania Zdzisława. Instynktem tylko czuł, że się gdzieindziej umieścić nie może, jak w owych czasach był Angielski..

O godzinie ósmej rano do drzwi jego dobiegał Żabicki i uspokoił się. widząc pod dwoma numerami nazwisko hrabiego. Jeden z nich zajmował professor Wilemski, do niego najprzód zastukał przybyły... Zastał go jeszcze w łóżku i bez peruki. co zwykle profesora wprawiało w zły humor. wyobrażał bowiem sobie, że peruka ta była tajemnicą i że się jej nikt nie domyślał.

Spotkanie się z Żabickim nie zdziwiło go bynajmniej, spodziewał się poniekąd — zmieszał się jednak. a ten po cichu mu do ucha szepnął, żeby się natychmiast ubrał, zszedł na dół na kawę, gdyż muszą się poufnie i bez świadków rozmówić o bardzo ważnym interesie.

Jadę wprost z Samoborów — dodał Żabicki, — zaszły tam wypadki niespodziane...

Profesor, któremu na myśl już nawet przyszło, czy go panna Róża nie zdradziła, porwał się co najprędzej zbierać. Zdzisław spał jeszcze...

Zeszli po cichu na dół — Wileński blady, chciwie pożerał oczyma przybyłego.

— Mów, na miły Bóg — nie trzymaj unie w niepewności — co się tam stało?

— Samoborsey wielki swój proces odwieczny na głowę przegrali. Samobory zajęte... familia zrujnowana... hrabina w łóżku chora i nieprzytomna. Zdzisław musi powracać natychmiast.

Profesor stał osłupiały... słowa długo przemówić nie mógł.

— Piorun z jasnego nieba czy co! wyjąknął wreszcie... Waćpan nie przesadzasz...

— Jadę z tamtąd mam list od prezesa...

— Ale coś im się zostanie! podchwycił profesor.

— Tak dalece ucie, że ruchomości zasekwestrowano do ostatniej łyżki... Mają do czytania z człowiekiem tak dzikim, tak zimnym i złym, iż podobnej poczwary wyobrazić sobie, uwierzyć w nią trudno...

Wileński padł na krzesło tracąc czoło., i zapominając nawet o peruce, którą posuwał i przekręcał...

— Cóż tu począć? co począć? zawołał zrywając się natychmiast z krzesła i poczynając biegać po pokoju... wszystko—wszystko do joty przepadło. Jeszcze szczęście, dodał w duchu—że ślubu nie wziąłem.

— Powracać trzeba niezwłocznie, miejsce sywa jest u łóżka chorej matki — począł Żabicki — musimy mu natychmiast to powiedzieć. Chłopiec rozpuszczony,

nienawykły do ciosów, lękał się o niego wielce w początku. lecz nasza rzecz energią go natchnąć. Mężczyzną jest, powinien przyjąć to po mężku.

— Mnie się coś niedobrze robi — odezwał się zamyślając Wilemski — bardzo mi się źle robi. — Odchoruję to niezawodnie... Piorun z jasnego nieba! powtarzam... mówił machinalnie — i w myślach zatopiony...

— Wiesz waćpan co? — dodał po długim przestanku — weź na siebie rozmowę ze Zdzisławem, ja, słowo daję — nie potrafię. . Wczoraj widziałem go w teatrze i na wieczerzy tak ożywionym. tak szczęśliwym .. serce mi się kraje... Co tn począć? Nie — nie mogę... Ja to odchoruję... zupełnie się czuję źle — mruczał Wilemski.

Żabicki popatrzał nań: w istocie litość obudził... Pomimo wcale nie gorącego poranku. pot mu czoło okrywał. a bladość twarzy, ręce drżały... zmieszany był, zatopiony w myślach. Łatwo się dorozumiewał Żabicki, iż głównie jego własny los go zajmował.

— I ja też wpadłem w matnię, rzekł wreszcie używszy pierśmiom westchnieniem. Licho mi nadało ze starą panną się zaręczać... która teraz może i grosza mieć nie będzie...

Ja się tam nawet już pokazać nie mogę... Każdy z pożaru ratować się musi... i myśleć o sobie. I ja też...

Nie mu na to nie odpowiedział Żabicki.

— Idę na miasto. na świeże powietrze, bo czuję, że mi źle — bardzo źle, dokończył chwytając za kapełusz — rób sobie ze Zdzisławem co chcesz... Nie czekajcie mnie rychło... to nad siły...

Poszedł ku drzwiom i zwrócił się.

— Tylko zmiłuj się—szybko rzekł zniżając głos,—daj mu do zrozumienia niech w hotelu za mnie zapłaci... Ja tu przecieżbym po dobrej woli nie jechał i nie zajeżdżał.

Na te słowa Żabicki nie miał siły odpowiedzieć nawet, popatrzał dziwnie na profesora, który się zmieszał mocno.

— Zresztą, jak tam sobie chce... mniejsza z tem... co będzie to będzie... Wzięli djabli krowę, niech biorą i cielę...

Nałożył kapelusz na głowę i wybiegł z hotelu. Nie dziwiło to bynajmniej Żabickiego, który takim go znał zawsze.

Cały ciężar spadł teraz na niego samego. Na meztwie mu nie zbywało.

Pomyślał chwilę i poszedł na górę.

Kelner u drzwi oznajmił mu, że graf wprawdzie przed chwilą obudził się, słysząc stuknięcie jakies u profesora, ale jeszcze w łóżku leży. Żabicki wszedł...

Story były pozapuszczane — w pokoju nieład wielki eleganckich bardzo rzeczy w podróznym zamęcie rozrzuconych. Zdziś palił cygaro i patrzył w sufit rozmarzony; twarz mu się uśmiechała przypomnieniem zabawy dnia wczorajszego... Białą wypieszczoną rękę wyciągnął Żabickiemu wołając radosnie:

— A! kochanego Żabcia! jak się masz? A to mnie nic nie mogło przyjemniejszego spotkać przy obudzeniu nad zjawienie się twoje...

Siadaj— mów .. i witaj — Salve!

Zmieszany tonem i słowy—młody nauczyciel ledwie się zebrał na niewyraźną jakąś odpowiedź... i siadł...

— Zapukaj do profesora... niech do nas przychodzi — ubiorę się w mgnieniu oka i odprowadzę was na śniadanie...

— Profesor wyszedł... a ja już jestem po śniadaniu — odezwał się Żabicki.

— Czegoś jesteś ponury taki!...

— Wiesz hrabio, jam najczęściej taki, a teraz — teraz mi smutniej jeszcze... W Samoborach nie wszystkich zostawiłem zdrowych...

Spojrzał na niego znacząco...

Zdziś rzucił cygaro i porwał się bledniejąc.

— Któż? mama? chora?

Żabicki milczał parę sekund.

— A! ze wzruszenia pewnie... to rozstanie — to rozczulenie — ja sam długo do siebie przyjść nie mogłem... Ale — nie ma strasznego? posłali po doktora?

— Doktora zostawiłem tam... mówił powoli Żabicki, szukając w myśli sposobu przejścia do tego, co musiał mu zwierzyć...

Zdzisław blady był i drżący...

— Mów, proszę cię — w łóżku czy chodzi? co to było?

— Hrabina leży od dni kilku... ciągnął zawsze z wolna Żabicki. Sądzę, że nie rozstanie samo było powodem choroby...

— Cóż, proszę cię? byłże jakiś inny powód? co? żywo podchwycił Zdziś.

— Prezes przyjeżdżał z jakimś interesem... — pan — pan wiesz — interesów nie rozumiem dobrze, coś zasłyszałem o niepomysłnym wypadku...

— Czego?

— Jakiegoś procesu...

Hrabia się zamyslił. Nie ukrywano przed nim wprawdzie istnienia tej sprawy, ale mu tajono niebezpieczeństwo i rozmiary. Nie miał więc pojęcia co by tak matkę zmartwić i zagrażać im miało.

— Ale bo to nieszczęście—odezwał się, że ta droga miancia zawsze tak wszystko zaraz bierze do serca... Prezes to stary, poczciwy, zacny człowiek. Ale tak niezręczny... we wszystkim co czyni. Po cóż było o tem mówić mamie?

— Juściż tań to do niczego nie prowadzi—odezwał się Żabicki: najgorszy w świecie system ukrywania prawdy dla oszczędzenia bólu. Trzeba mieć mężstwo, by cierpieniu móżdż zająrzeć w oczy.

— Tak—to dobre dla nas... ale słabą, delikatną kobietę oszczędzać należy.

Żabickiemu nie stało na chwilę wątku, spuścił oczy i milczał.

— Ty masz minę—odezwał się Zdziś — jak gdybyś przeciwko swemu systemowi, mnie oszczędzał i coś tań przedemną...

— Nie—rzekł Żabicki—alebym wam, kochany panie Zdzisławie, chciał oszczędzić w istocie zbyt nagłego przynajmniej bólu... Hrabina jest mocno chora... a interes, o którym wspominałem. jest jak najgorszy...

Zbladł jak ściana chłopiec i ręce zacisnął.

— Więc mnie należy powracać natychmiast—rzekł stłumionym głosem.

— I dla tego ja tu przybyłem, abym was zwrócił do Samoborów—dodał Żabicki. Uzbrój się w mężstwo kochany panie Zdzisławie... Przypomnij sobie, ile razy

w naszych rozmowach, nieszczęsny prorok, mówiłem ci o tym obowiązku człowieka, aby zawsze był gotów na wszystko złe, jakie spotkać go może. Nie zabezpiecza od tego żadne w świecie położenie. Trony się walą—bohaterowie nikną wtłoczeni w błoto...

Zdzisław słuchał nie mówiąc, rękę wyciągnął do Żabickiego. ścisnął jego dłoń i drżał.

— Nie opuszczaj mnie — odezwał się słabym głosem — czuję, że sam... sam — nie wiem czybym sobie dał radę... Ty mnie natchniesz mężstwem... Mów, ile wiesz... Cóż to za klęska?... co nas ma spotkać?

— Mielście proces ze stryjem... z człowiekiem dziwnym i złym — mówił Żabicki — nie mówiono wam o tem może — proces toczył się o majątek cały... Przegraliście go... Ta wiadomość matkę waszą wprawiła w niebezpieczną słabość — przyszła niespodzianie...

Kończąc te słowa i widząc bledniejącego coraz bardziej Zdzisława, Żabicki pochwycił go za ręce...

— Mężtwia! panie Zdzisławie — odbierasz pierwszy chrzest bólu z rąk losu — cierpienie to niech cię pasuje na rycerza, nie na istotę bezwładną i zgniecioną!! Czy nie pomogą nic... trzeba czynu i czynu godnego mężczyzny...

Dobył list prezesa.

— Czytaj pan — dodał — ubieraj się, jedziemy...

Zdzisław rzucił mu się na szyję płacząc, mówiąc nic nie mógł...

— Daruj mi te łzy... o matce myślę... wyjąknął niewyraźnie... biedna mama... jedźmy — jedźmy jednej chwili...

— Uspokój się pan, nie myśl o wyjeździe, ja nim zarządzę...

Wstyd okazania się słabym, oszczędził pewnie Zdzisławowi samemu bólu, z którym walczyć musiał. Żabicki nie odstąpił go już na chwilę, zwolna i stopniowo przygotowując do tej klęski, której rozciągłości zdawał się Zdzisł wcale nie móżd pojąć.

Roił i on, że coś da się ocalić, że ten stryj będzie człowiekiem i okaże serce ludzie, że się odwołają do sądu i pośrednictwa obywateli..

Żabicki kochając Zdzisława, znajdował sposób oznajmienia mu coraz czegoś gorszego tak, by od razu nie padł pod brzemieniem.

Ciągle mu wystawiając obowiązek mężstwa dla matki—nie dał upaść na duchu... Zdzisław rozgorączkowany był, ale nie zrozpaczony. Dla niego niczem się zdawała utrata majątku, w której zupełność uwierzyć nie chciał, a troskał się o drogą matkę i jej tylko pragnął oszczędzić cierpienia.

W parę godzin wszystko było do drogi gotowe, szło tylko o profesora. o którym sobie teraz dopiero przypomniał Zdzisław. Posłano po niego, Wilemskiego nie było.

— Czekać na niego nie możemy — odezwał się Żabicki. Widziałem się z nim rano, mówiłem mu o wszystkim, biedny człowiek zgryzł się tak mocno, że potrzebował pójść—odetchnąć. Kto wie czy w czas powróci... Zostawimy słów kilka do niego.

Zdzisław na wszystko się zgadzał, chcąc wyjeżdżać co prędzej. Żabicki, który ułatwiał rachunki hotelowe, nie zapomniał też o zapłaceniu za Wilemskiego, do którego kartkę zostawiał.

Posłano już po konie... Zdzisław chodził osłabły po pokoju: gdy służący przynoszący rachunek, wszedł

z książką, w której się zwykli zapisywać podróżni. Zdziś machinalnie rzucił na nią okiem i krzyknął wskazując kartę:

— Kiedy ci państwo przybyli?

— Wczoraj nad wieczór—rzekł kelner.

Żabicki zajrzał, na rejestrze stało:

„Baron Mangold z córką i kuzynką z Jezioran.“

— Na Boga! zawołał Zdzisław — ja się z baronem koniecznie widzieć muszę, to przyjaciel nasz, mojej matki. Jestem pewien, że znajdę u niego współczucie, radę, opiekę...

Żabicki lepiej znający świat wielce o tem wątpił, nie chciał wszakże może od razu złudzeń odbierać Zdzisławowi—odezwał się tylko:

— Zdaje mi się — że — baron nic nam dopomódz nie może...

— Owszem! owszem — przerwał Zdzisław: nie darowaną uchybiłbym mu... idę...

Jakoż wybiegł natychmiast. Baron na tem samem piętrze zajmował salon i parę pokojów. Zdziś dał swój bilet kelnerowi i dopisał na nim ołówkiem, że na chwileczkę widzieć się pragnie koniecznie. Któż wie? może i nadzieja spojrzenia jeszcze raz w oczy tej czarodziejce, której pączek różany nosił na sercu. pędziła go do barona.

Dosyć długo kazano mu czekać w korytarzu — naostatek kelner otworzył drzwi salonu, w którym nikogo nie było... Zdzisław wszedł... Na kanapie leżał tylko szal znajomy mu, ten sam. którym obwinięta Elsa opuszczała Samobory, tego pamiętnego, pięknego dnia marzeń i wesela.

Baron dosyć znowu czekać na siebie zmusił — wreszcie drzwi się otworzyły, wyszedł sztywniejszy niż kiedy, błydy i widocznie mocno zakłopotany.

Zdzisław rzucił się ku niemu z uczuciem, gotów mu paść w objęcia, gdy Mangold wyciągniętą, twarłą jak żelazo podał mu rękę i nią go wstrzymał w przyzwroitem od siebie oddaleniu...

— Baron wiesz o nieszczęściu naszym! zawołał Zdzisław...

— Tak jest — słyszałem.. wyjąknął Mangold — nbolewam nieskończenie...

— Al pan co byłeś przyjacielem naszym, matki mojej — pan co masz tyle doświadczenia... pan.. Ja do pana barona przybyłem z prośbą o radę, opiekę. o pomoc....

Baron usłyszawszy to. podniósł głowę do góry, ręką pogładził brodę.

— Widzisz hrabio — odezwał się — to są okoliczności — takie — takie... skład tak osobliwszy... My jedziemy do Włoch, prawdziwie radbym z serca — ale niczem, niczem służyć nie mogę...

— Lecz przynajmniej radą — słowem...

— Al słowem... tak — pochwycił baron — ale cóż tu radzić?... Skład okoliczności... Ja w interesach tego rodzaju najumniejszego nie mam doświadczenia...

Zdzisław patrzył nań zdziwiony. Widywał go często chłodnym, nigdy znowu tak straszliwie patrzącym z góry i odpychającym. Baron teraz ręce w tył założył, usta dziwnie skupił. a oczy obróciwszy ku oknom, czekać się tylko zdawał, rychło li się gościa natrętnego pozbędzie.

Nadzieja zobaczenia Elsy i jakiegoś słówka współczucia od niej, wstrzymała biednego Zdzisława, którego baron nawet siedzieć nie prosił, sam też stojąc przy drzwiach pokoju, z którego wyszedł, i niby chcąc zaraz powrócić...

— A! panie baronie — odezwał się Zdzisław z uczuciem — mogliśmy się przed niedawnym czasem, przed kilkunastu dniami czegoś podobnego spodziewać?

— Tak! niezawodnie! kto się mógł czego podobnego spodziewać! powtórzył Mangold — taki skład okoliczności... to trudno...

— I ta biedna mama moja...

— Rzeczywiście — rzeczywiście! cicho szeptał baron...

Zdzisław kręcił się przedłużając rozmowę: pragnął ją zobaczyć. spodziewał się co chwila ukazania jej, a nie śmiał się jeszcze o to upomnieć...

— Państwo jadą do Włoch?... zapytał.

— Tak... do Włoch — do Włoch — za parę dni, wprost...

— Na długo?

— Być może. iż na... niekrótco — bąknął baron — to zależy... Włochy kraj. słyszę, bardzo piękny, chcę go gruntownie obejrzeć -- gruntownie...

Chrząknął Mangold i patrzył na Zdzisława, niby go wzrokiem usiłując wypędzić.

Zdzisław stał, a raczej kręcił się w miejscu.

— Chciałem państwa pożegnać... odezwał się, bo teraz nie wiem kiedy będę miał to szczęście spotkać się z nimi...

— A! prawdziwie! — a! dziękuję bardzo...

Baron poszedł do okna bez ceremonii i patrzył na Wierzbową ulicę, może wierzb szukając na niej, których od dawna nie było...

— Nie mógłbym pożegnać?... rzekł nieśmiało Zdziś.

Baron odwrócił się niezmiernie żywo.

— Nie — nie — nie — odezwał się — nie można — prawdziwie że nie — o! nie! żegnam pana hrabiego. żegnam.

I cisnąc go sobą popchnął do drzwi.

— Uu — paa — daaam do nóg! upadam do nóg! dołożył, biorąc sam za drzwi, aby je otworzyć hrabiemu i co prędzej zamknąć za nim.

Zdzisław znalazł się w korytarzu prędzej, niż się spodziewał, zawstydzony, zmieszany, nie mogąc po młodzieńczemu zrozumieć tej zmiany w człowieku, w obejściu, w tonie, jaka go tu spotykała. Złożył wrażenie odebrane na własną drażliwość i usiłował sobie wyobrazić, że pocziwego Mangolda nie zrozumiał. A może też — dodał — widzi przywiązanie Elsy do mnie, i dlatego tak się lęka. abym się z nią nie widział.

Schodził z wolna Zdziś. gdy — nad wszelkie spodziewanie — spotkał wracające z miasta panie... piękną Elsę i niepiękną Hełę. W pierwszej chwili myśli mu się nastreczyła, że one umyślnie wysunęły się, aby móżdż się z nim pożegnać, mimo wiedzy ojca... Żywo przystąpił do nich...

Panna Hela wyprostowana, bystro nań patrząc, usiłowała sobą mu Elsę zasłonić, i na bardzo serdeczne powitanie, odpowiedziała:

— A to szczególne spotkanie! to pan hrabia tu jeszcze?...

Właśnie wyjeżdżam. byłem u barona chcąc go pożegnać, i pragnąłem paniom złożyć moje uszanowanie.

Hela patrzała nań z protektorskiem politowaniem, ciągle usiłując Elsę zasłonić. Zdzisław przeciwnie zwracał się, aby mógł choć na chwilę zbliżyć się do niej.

— Kiedyż pan wyjeżdża? zapytała Hela.

— Natychmiast.

Zwrócił się do Elsy. która spojrzawszy nań zimno, spuściła oczy.

— A panie! długo zabawia?...

Elsa podniosła nieco wejrzenie. i dała do zrozumienia, że kuzynka odpowie za nią. Parasolikiem coś rysowała na podłodze; twarzyczka jej pozostała niezmieniona, tak piękna jak była, gdy ją ujrzał, i równie bezmyślna.

— My, my, zabawimy... o! długo — mówiła Hela. Baron chce zwiedzić całe Włochy.

Znowu spróbował się Zdzisław odwołać do Elsy.

— Pani zapewne cieszy się z tej podróży?

— Ja... o! ja lubię podróżować — mruknęła panienska niewyraźnie — bardzo lubię; na wsi ciągle jedno i jedno... nudno w końcu.

— I nie wspomni pani tych pięknych dni na wsi spędzonych? dodał Zdzisław.

Elsa śmiechnęła się niezrozumiale i ruszyła ramionami, a Hela przerywając rozmowę, z której widocznie była niezadowolona, zakończyła:

— Nie wstrzymujemy hrabiego. któremu być musi pilno. Elso — chodźmy. ojciec pewnie czeka... Żegniam...

Zdziś stał z kapeluszem w rękę. Hela mu się skłoniła z dala. i jakby ohawiała się o powierzoną swej opiece kuzynkę, uchwyciła ją pod rękę. uprowadzając z sobą.

Elsa mijając Zdzisia, ukłoniła mu się z lekka. nawet oczu nie podnosząc na niego... i unikając spotkania jego wejrzenia. Obie razem bardzo szybkim krokiem pobiegły do drzwi swoich. wsunęły się do pokoju. i słychać było jak się zamykały.

Postawszy jeszcze chwilę, brachia powoli powlókł się do mieszkania. Wcale inaczej wyobrażał sobie to spotkanie i pożegnanie. Był smutny, ale przykrość doznana zamknął w sobie. Do rozczarowania tego nie był przygotowany wcale. Żabicki już gotowy do podróży. czekał na niego; profesora nie było.

— Chciałbym Wilemskiego pożegnać—odezwał się Zdzisław. Zdaje mi się, że uchybiłbym mu, nie ścisnąwszy jego dłoni. Pewien jestem, że uczuje nasze nieszczęście mocno... a będzie mu ono przykrojsze. jeśli go tak porzucę. Zaczekajmy, poszlójmy po niego.

Żabicki napróżno starał się wytłómaczyć uczniowi, iż oczekiwanie jest niepodobieństwem,—pocziwy Zdziś swoim sercem mierząc inne, nie przypuszczał obojętności i zdrady.

Rad nie rad więc Żabicki musiał pewne starania uczynić o wyszukanie Wilemskiego. i posłał służącego na chybił trafił, aby go w sąsiedztwie hotelu próbował znaleźć. W istocie znalazł go w najbliższej kawiarni nad filiżanką. zamysłonego o przyszłym losie. Wilemski wymówić się nie mógł od powrotu do hotelu. Przybrał właściwą fizyonomię człowieka, który

pod ciężarem wielkiego wrażenia upada. Zwlókł się noga za nogą.

Zobaczywszy go Zdziś, padł mu w objęcia.

— Profesorze! zawołał — muszę powracać... jedziemy... wszak i ty ze mną?

— A! ja... ja... kochany hrabio, z duszy i serca... ale czuję się tak niedobrze... tak mnie ta wiadomość podcięła, że nie wiem czy dojechałbym

Rzucił się na krzesło.

— Stary jestem: co młodzi mogą łatwo przenieść, dla mnie zabójcze! Al nie uwierzysz, kochany hrabio, nóg nie czuję pod sobą... przechoruję... Gdybym chciał jechać, nie zdołam.. Kłopotbyście ze mną mieli gdzie na drodze... mógłbym obiedz w karczmie. Czuję, że zostać muszę... nadjadę później... gdy ochłone...

Komedia była niezręcznie odegrana, ale hrabia nadto był skłonny do złudzenia. by się poznał na jej fałszu. Uściskał raz jeszcze profesora, i znalazł naturalnem, ażeby wypoczął...

Wilemski wdychając odprowadził ich do powozu... a sam wrócił natychmiast, aby przedsięwziąć środki właściwe dla zapewnienia sobie innego stanowiska.

— Nie głupim tam wracać—rzekł;—do panny Róży napiszę z ekskuzą, choćby mi przyszło i kaftanik odesłać. Ona potrzebna hrabinie, a dożywocia nie dostanie. bo oni sami dziś pana Boga błogosławić będą, jeśli im folwareczek zostanie. Szczęście jeszcze, że nie się ożenił na pędce—wyrazna Opatrzność boska na-

demną! Pan Bóg łaskaw... Dopierobym był Tadeusza śpiewał z żoną i i bez grosza...

Wilemski schwycił się za perukę i powtórzył raz jeszcze:

— Wyraźna Opatrzność boska!

KONEC TOMU PIERWSZEGO



Biblioteka Raczyńskich

JIK 261



JIK0261